



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### DLA MATEK.

Wszyscy znamy ponurą przemoc namiętności; kto walczył z niemi, ten miał sposobność poznać ich potęgę; kto się im bez walki dał porwać, ten później, gdy spokój, gdy cześć dla samego siebie utraci, gotów jest z zabobonną trwogą wierzyć, że na tym padole płaczu snują się jakieś duchy ciemności, wybierające sobie ofiary na zatracenie, a wszelka walka z niemi jest tylko bezsilnem szamotaniem się. Czy przecież podobna jest wierzyć w takie umyślnie po świecie wędrujące potęgi złego?

Nieraz w życiu spotykamy ludzi, oddanych jakiej szczególnie złej namiętności, pochłaniającej ich całych panującej nad ich wolą i rozumem, „posiadanych przez demona“. Bywa to namiętność do upajających trunków, do gry, lub inna, niższa jeszcze, a zawsze tak silna, tak zębna, że niweczy człowieczeństwo i kazi całą istotę moralną. Jeżeli namiętność taka owdłanie istotę średniej lub niższej miary, wytwarza wtedy pełnię brzydoty moralnej, czyni człowieka wstrętnym, najczęściej zbrodniarzem. Lecz ileż-to razy widzimy naturę bujną, bogato obdarowaną, szlachetną, którą moc złego zupełnie ujarzmiła! I wtedy jesteśmy w rozdwojeniu własnych uczuć, w walce pomiędzy wstrętem a sympatją: złe nas odpycha, gdy znów jasne przymioty pociągają, budząc litość, i zwiemy owego człowieka tylko „nieszczęśliwym“. Litość tę potęguje jeszcze widok bezsilnych zapasów, jakie istota podobna toczy sama z sobą, daremnych wstrząśnień człowieka skutego, usiłującego zrzucić więzy, a że litość prawdziwa w obec nieszczęścia nie umie zachowywać się biernie, więc śpieszymy z pomocą

w nadziei, że powstrzymamy jeszcze upadek, pobudzimy silniejszy poryw ducha i otworzymy mu drogę do wyjarzmienia się i odzyskania samego siebie. Tym sposobem, pomimo wiedzy, sami wstępujemy w odwieczne szranki boju dobra ze złem. Pracy tej podejmuje się niekiedy druh serdeczny, lecz najczęściej tkliwa jaka dusza niewieścia, matka, kochanka lub żona. Ileż-to razy wysiłki są daremne! Ileż razy po upadku niema już powstania, i ani przyjaźń najszczerza, ani miłość matki, ani poświęcenie żony, nic, nic nie powróci już naruszonej równowagi, nie odda czoła wieka jego obowiązkom. Niekiedy nawet będziemy mieli wszystkie objawy walki, a patrząc na nią, łudzić się nawet zaczniemy nadzieją zwycięstwa; lecz dawna fala zahaczy napowrót z nową siłą. I przychodzi czas, że najodważniejsza kobieta—bo ją tu mamy na myśli, jako dobrego opiekuńczego ducha—rozpacznie załamuje ręce, wołając: „Zgubiony!“ I znów zrywa się do dalszej pracy, pobudzona błyskiem inteligencji lub szlachetniejszym jakim porywem nieszczęśliwego opętanka. I znów szalona namiętność wybucha płomieniem, pali i niszczy, i w nicstwo obraca szlachetniejsze żywioły ducha, aż wreszcie zmarnieje wszystko, co było rozumem, wolą, sumieniem i siłą.

Niema więc ocalenia. Przyszliśmy z pomocą i radą naszą zapóźno i musimy uwierzyć, że są choroby moralne śmiertelne, na które niema leków, ani mądrości leczniczej. Owa „chorób duchowych lekarka“—bezsilną jest wobec takich nieszczęść. Jej powodzenie kończy się wraz z silniejszym rozwojem namiętności; jej powołanie tam, gdzie duch sam własną mądrością swą wyleczy się pragnie z obłędu lub opętania nagłego, przychodzącego jak błyskawica. Gdy zatem leczyć nie można, trzeba zapobiegać; są środki zaradcze, jest hygiena moralna, chroniąca ducha od chorób, czy to od przewlekłych chorób, czy od gwałtownych porażen. Trzeba zawczasu niszczyć

zarodki złego, tępić zaraźliwe miazmata, rozbudzać w duchu energią i odporność na zewnątrz—przeprowadzić go przez ten szereg ćwiczeń i doświadczeń, których całość składa, że tak powiemy, gymnastykę moralną, wyrabiającą siły, a wraz z siłami odwagę i wytrwałość. Wszelka ta praca w młodości odbywać się musi, wcześniej zaczynać ją potrzeba, aby nie przysłała zapóźno. W młodości łatwy jeszcze przystęp do ducha ludzkiego; w młodości jeszcze umysł czerstwy i podatny na wpływy—na złe, ale i na dobre; życie nie miało jeszcze czasu wyręć na nim rysów upadku i niszczenia.

Do pracy takiej ochronnej zniewalać powinno i to przeświadczenie, że namiętności to nie moce straszne, z otchłani wychodzące na zgubę dusz jasnych, lecz własne siły ducha człowieczego, własne jego potęgi i bogactwa żywotne, tylko źle skierowane i źle użyte. Jedna i tasama siła surowa, elementarna, nie poddana pod rząd prawa moralnego, zdolną jest zarówno unieść ku górze, jak w przepaść zepchnąć, tworzyć lub niszczyć, stosownie do nadanego jej przeznaczenia. Arystoteles w różnicy pomiędzy cnotą i grzechem widzi tylko różnicę ilościową jednego i tego samego popędu.

Otóż umiejętnym kierunkiem tych sił duchowych zająć się trzeba we wczesnej młodości: a czyjaż to troską ma być, jeżeli nie rodziców, nie matki, tej najlepszej przyjaciółki syna, o której Żmichowska powiada: „że choć bogi zmylą, ona nie zawiedzie“. Ta wychowawczyni ciała syna niech zabezpieczy i ducha jego od przystępu złego; niech mocą swej miłości odpędzi, na wzór owych zabobonnych góralek tatrzańskich, wszystkie dziwożony, czyhające na zgubę dziecięcia. Wierzymy, że żadna z naszych matek nie szczędziła-by na to trudu, ni krwi serdecznej; lecz jak tego dokonać, jakich najstosowniejszych środków użyć, już nie w każdym danym wypadku, ale w całym przebiegu tego świętego prawdziwie po-



slannictwa? Na czem się zasadza działalność, zabezpieczająca ducha od upadków i nędz przy-  
szłych?

Jedno tylko wskazać tu można. Rozbudzenie wiary i miłości dla trwałych, najwyższych ideałów życia. Niechaj matka podniesie wzrok syna swego ku tej światłości wiekuistej, bez której ludzkość, jak bez słońca fizycznego, żyć-by nie mogła. Niechaj wzrok ten przykuje tak silnie, aby nigdy już od górnych niebieskich szlaków odwrócić się nie mógł, aby ukochał piękno moralne, prawdę i dobro—dla nich samych tylko—z potęgą czci, bóstwom należnej. Na takim dopiero tle ogólnie wyższego nastroju zbudzić potrzeba w duszy dziecka szczególne jakieś upodobanie, rozplomienić je w szlachetną namiętność, wszechpotężne uczucie, które-by zajęło umysł, oświadczyło wyobraźnię i sercem. Niech to będzie miłość nauki, choćby najdrobniejszej jej gałęzi, miłość sztuki, pracy zawodowej praktycznej, a wtedy poziome zła namiętności nie znajdą do niego przystępu, nie utrudnią sobie drogi poprzez wyższe szlachetne pragnienia; węże pełzają po ziemi; roślina, odrazu zwracająca się do słońca i potrzebująca go dla siebie, nie da się zagłuszyć przez chwasty. Młodzian nie będzie miał czasu ni myśli wolnej; nie zazna chwili bezczynności, nudy duchowej; nigdy nie będzie bez steru, i bez boju zapamiętuje nad złemi instynktami powagą i wzniosłością swoją, nie pozwoli im nawet na zdradzieckie zasadzki.

Matka kochająca niech podpatrzy upodobania syna, podsłucha szmery jego młodzieńczego ducha, i w kierunku tych spostrzeżeń niech roznieca święty ogień w sercu dziecka swego; a jeżeli duch młodzieńca nie umie sobie jeszcze zdać sprawy z upodoban swych, nie umie wypowiedzieć się jasno, wtedy ona swoje ideały, swoje ukochania poddać mu może, usiłując zamilowanie do nich uczynić górującem ponad wszystkimi innymi skłonnościami. Później dusza jej syna, rozwinięta się samodzielnie, zwrócić się może w innym kierunku, lecz zawsze równie szlachetnym, a energia ku dobremu, raz zbudzona, już nie zaginie. Wszystkie siły bogatej indywidualności, te, które-by ją oddać mogły w moc złego, zwrócą się teraz do jasno postawionego ideału dobra, które będzie tak potężnie władać umysłem, jak potężnie panowała-by nad nim zła namiętność; bo właśnie ta bujność, żyźność roli, jest przydatną zarówno do wzrostu złego, jak i dobrego posiewu; trzeba więc, by siewca dobra wstał o rannym świcie i pracę już ze wschodem słońca odrabiać zaczął.

Otóż w rękę matki spoczywa zabezpieczenie moralnej przyszłości syna: jeżeli da mu owe wsparcie z upodobań wyższych, z dążeń szlachetniejszych, jeżeli zbudzi mu wał ochronny z miłości Ideału, dziecię jej przejdzie przez życie czyste a silne, jakim mężczyzna być powinien,

Szczególniej natury zapalne, żywiej czujące, potrzebują takiego kierownictwa, choć żadnego młodego organizmu nie godzi się matce zostawiać na poziomie mierności i ospalej obojętności, ze czczem sercem i jałowym umysłem; bo wyjątkowo tylko niedołażone charaktery zostaną w tej nicości przez życie całe, zadowolą się stanem lichego wegetowania. Duch czuć musi i wzruszać się, a biada, jeżeli zbudzi go zło; już przez sam powab pierwszego wzruszenia upodoba je sobie, i jak martwa już bryła, jak pień lub glaz bezduszny, własnym ciężarem stoczy się w przepaść. Bo zapamiętajmy to sobie, że niema takiej drogi życia, która-by nie szła nad przepaścią. Nie ociągaj się więc, nie namyślaj, nie lękaj się ogromu trudów, matko, obywatelko! Wierz tylko we własne siły i sama kochaj to, co masz w miłości ideału dać dziecku swemu. Ma to być chrzest na życie całe, ma to być pancerz, chroniący od pokus i przeciwności—aż do śmierci. Filozofii wielkiej do tego nie potrzeba; wiara, chęć szczerą i uczciwość w życiu—wystarcza. Powszechności ciężącego obowiązku odpowiadać musi i powszechność posiadanej siły do jego spełnienia. Tu nie trzeba Ossy na Pellion; nie, tu potrzeba tylko wytrwale, w każdej chwili stosownej, dodawać po cegiełce do tej tajemniczej budowy, która się przyszłością dziecka nazywa.

Wanda Podgórska.

## ZJAZD PEDAGOGICZNY W PRZEMYSŁU.

(Dokończenie)

### IV.

#### Trzeci i ostatni dzień zjazdu.

Sala ratusza, w której odbywały się obrady we Czwartek i Piątek, miała się zamienić w Sobotę na salę jadalną, na miejsce uczyt pożegnalnej, wydanej przez miasto uczestnikom zjazdu; skoro z tego względu wypadało od rana czynić w niej odpowiednie przygotowania, posiedzenie zjazdu odbyć się musiało gdzieindziej. Jakoż zainstalowało się ono... w teatrze; na tejsamej scenie, na której przed dwoma dniami królował bohater „Werbla domowego“—Urban, zasiadło poważne przydyum, a z boku, pomiędzy kulisami, potulnie umieścili się przedstawiciele „wszechpotężnej“ prassy; krzesłach i łożu zapełnili sami członkowie zjazdu.

Po odczytaniu protokołu, odpowiedziano z Zarządu na interpellację wczorajszą p. Mnerki w sprawie obrazów poglądowych Tempkiego. Zarząd przyznał, że zgromadzenie uchwaliło było wydać nowe tablice poglądowe, mające zalecać się przedewszystkiem swojskością, przedstawiając krajowe typy, ubiory, sprzęty, zajęcia. Zamiar wydania tablic rozbić się musiał o brak środków materialnych do tak kosztownego nakładu. Może w przyszłości, przy pomysłniejszej konstellacji w kraju, zamiar ten da się wykonać, jeżeli nie w całości, to w części chociaż, przez wydanie kilku dodatkowych tablic, uzupełniających lub zastępujących tam, gdzie trzeba, dotychczas używane po szkołach, tablice Tempkiego.

Następnie Prezes odczytał telegram z Moraw, zredagowany popolsku: „Szczerzej a gorliwiej pracy braci polskiej na „Zjazd“ w Przemysłu szczęść Boże, a przyjaciółom wzajemności posko-czeskiej do widzenia na Welehradzie“. — Ostatnie te wyrazy odnosiły się do zapowiedzianego na dzień 11, 12 i 13 Sierpnia zjazdu nauczycieli słowiańskich w Welehradzie; delegatem na ten zjazd ze strony Towarzystwa Pedagogicznego galicyjskiego obrany został D-r Józef Żuliński.

Zgromadzenie oddało przez powstanie cześć trzem zmarłym członkom Towarzystwa. Są nimi: 1) D-r Med. Tadeusz Żuliński, 2) Karol Wild, znany powszechnie księgarz, ceniony jako obywatel i człowiek charakteru, zasłużony na polu polskich wydawnictw pedagogicznych; 3) Józef Obst, wielkich zasług dyrektor szkoły wydziałowej w Przemysłu.

Nastąpił wybór prezesa i (jak to się już od wielu lat powtarza) wybrany został ponownie jednogłośnie prawie p. Zyg. Sawczyński; wiceprezesem również ponownie wybrano zasłużonego wielce, zwłaszcza w ostatnich latach, w zorganizowaniu i podtrzymywaniu kolonii wakacyjnych, D-ra Teofila Gerstmana. Dodać tu wypada, że prezes oddawna, a wiceprezes od kilku miesięcy, piastują godność członków Wysokiej Rady Szkolnej. Wybory członków zarządu głównego wypadły podług listy, z góry zaprojektowanej. W gronie 20 członków Zarządu głównego mieszczą się wydatni i zasłużeni mężowie, jak: Bolesław Baranowski, D-r Karol Benoni, Jan Dobrzański, D-r Zyg. Samolewicz, D-r Wład. Zajączkowski, D-r Alfred Zgórski, D-r Józef Żuliński i inni.

Na wielu już zjazdach Towarzystwa rozprawiano wiele o bursach dla synów nauczycielskich; wiele zarządów oddziałowych zajmuje się tą sprawą, umieszcza synów nauczycielskich w istniejących już zakładach, zbiera fundusze na odrębne bursy nauczycielskie; rezultaty przecież dotąd nie są takie, jakichby się spodziewać wypadało. A pragnąc-by tego trzeba najgoręcej, boć to sprawa najścisłej związana z bytem materialnym i losem nauczyciela; jeżeli on nie może sobie wywalczyć takiego uposażenia, aby mógł zabezpieczyć byt rodziny, to bardziej od jego tortur moralnych, kiedy patrząc

musi na zwichniętą przyszłość zdolniejszego dziecka, którego nie zdoła kształcić dalej dla braku funduszy. Bursy nauczycielskie, jeśli mają wejść w szersze zastosowanie i wydać pożądane owoce, potrzebują silnego poparcia. Właśnie zarząd Towarzystwa zajął się dość energicznie bursami, a referent tej sprawy, p. Dziedzicki, redaktor „Szkoły“, przedstawiał przed zgromadzeniem losy tych usiłowań. Petycja do wysokiego sejmu, o subwencyonowanie podana, mimo najprzychylniejsze przyjęcie i poparcie ze strony Komissyi Edukacyjnej sejmowej i jej prezesa D-ra Majera, mimo najusilniejsze poparcie przez Komissyą budżetową, pod obrady jednak sejmowe, dla chronicznego braku czasu, nie przyszła. Pozostaje więc tylko cieszyć się nadzieją pomysłniejszego załatwienia sprawy w roku następnym. Tymczasem Zarząd Towarzystwa zajął się zebraniem statystyki i statutów burs. Na podstawie zebranego materiału, p. Dziedzicki mógł wykazać poszczególnie liczbę młodzieży w 10 bursach różnych miast galicyjskich. Liczba ta wynosi ogółem 370; w niej mieści się zaledwie 46 synów nauczycielskich, umieszczonych częścią bezpłatnie, częścią za skromną opłatą. Referent w końcu przedstawił wnioski, które po dyskusji i niejakich poprawkach przyjęto: 1) aby Zarząd Towarzystwa starał się o rychłe zakładanie burs dla synów nauczycielskich w miastach, posiadających szkoły średnie; 2) aby Zarząd starał się w tym celu gromadzić i osobno administrować fundusze: ze składek po kraju, odczytów, koncertów, subwencji sejmu i różnych instytucji, z zysków wydawnictw Towarzystwa; 3) aby Zarząd wygotował statut, określający stosunek Towarzystwa Pedagogicznego do burs; 4) aby, w razie kilku ubiegających się, pierwszeństwo miał ten uczeń, którego ojciec czy matka dawniej do Towarzystwa należy i wkładki regularnie opłaca.

Imieniem komissyi lustracyjnej składał następnie sprawozdanie ze stanu funduszy Towarzystwa p. Vimpeller z Tarnowa: stan majątku wynosi 24,380 złr. Zgromadzenie udzieliło Zarządowi głównemu absolutorium, a D-rowi Benoniemu podjękowanie za wzorowe utrzymywanie rachunków i energiczne prowadzenie wydawnictw, które przyniosły dotąd czystego zysku Towarzystwu 14,838 złr.

W pierwszym dniu obrad wybrano komissyą do rozpatrzenia wniosków samoistnych, podanych Zarządowi głównemu; wypadało teraz przed zakonowaniem zjazdu przedstawić referat tej komissyi. P. Badańczyk, jako referent, nie mógł całego operatu przedstawić. Trzy pierwsze wnioski—(a podobnych było jeszcze 20) zajęły wiele czasu, wywołując długą a bezskuteczną dyskusyą; dotyczyły one spraw dyscyplinarnych i stosunku inspektora do nauczycieli tymczasowych, i innych spraw podobnych, które albo już nieraz były odnośnym władzom przedstawiane, albo są takiej natury, że zgromadzenie przejść musi nad niemi do porządku dziennego. Nie dyskutowano też nawet nad dalszemi wnioskami, tylko je po przeczytaniu tytułów przekazano Zarządowi do załatwienia; zaledwie parę z nich miało charakter ściśle pedagogiczny, inne dotyczyły osobistych, materialnych spraw nauczyciela. Jeden był tego rodzaju, że zgromadzenie przyjęło go ironicznie, a p. Gabryjelski uznał za potrzebne zwrócić się do przedstawicieli prassy z prośbą, aby o nim zamilczeli; była ona bezskuteczna i zbyteczna, bo ci, którzy pisali o zjeździe ze słyszenia, nie uważali jej za obowiązującą dla siebie—zbyteczna, bo wniosek ten nie potrzebował osłony tajemnicy: nie był on bowiem zrobiony pośpiesznie, nie można go rozumieć literalnie, lecz tylko symbolicznie, jako wyraz materialnego położenia nauczycieli ludowych, położenia bez wyjścia. Jeżeli wniosek żąda celibatu nauczyciela, dopóki nie dojdzie do 600 złr. pensji rocznej, to już cię chyba nikt na poważnie nie przypuści, aby mogła zapaść podobna uchwała zjazdu pedagogów, a tem mniej w dalszym następstwie rzeczy prawo obowiązujące. Zwierzchność szkolna, władze rządowe, kraj cały rozumie tę figurę parlamentarną w takim sensie, że galicyjskiemu nauczycielowi ludowemu nie wolno myśleć o rodzinie, bo on ma uposażenie tylko na własną osobę, jak żołnierz. Wniosek ten stano-



wi dobry komentarz do uchwalonych petycji do Sejmu o polepszeniu doli nauczycielskiej.

Porządek dzienny wyczerpano; pozostawało już tylko oznaczenie miejsca przyszłorocznego zjazdu—jakoż obrano Lwów — i zamknięcie zjazdu. Prezes w obszernym przemówieniu podniósł znaczenie dorocznych zjazdów Towarzystwa, charakter ich i wpływ na pokrzepienie ducha nauczycieli; zsumował treść obrad i objaśnił, że żadne, najpoważniejsze nawet, zgromadzenie, nie może być pewne natychmiastowego spełnienia swoich uchwał. Radził więc cierpliwość, wyrażając zarazem błogą nadzieję pomysłnego załatwienia pięknej sprawy zabezpieczenia losu nauczycieli, a wtędy mniej już zjazdy zajmować się będą sprawami ekonomicznymi, a więcej kwestyami pedagogicznymi, i nauczyciele dadzą dowody gościnnej zawsze publiczności, że pełni zapału i poletu, świadomi obowiązków i spraw swoich, wierzą w skuteczność wielkiego zadania swego.

Czekała jeszcze jedna praca pedagogów, t. j. spożycie uczy pożegnalnej. W głównej i przybożnych salach ratusza zebrał się goście, tudzież wszystkie dostojne i wydatniejsze osobistości miejscowe. Widząc nadzwyczajną staranność w przyrządzeniu tej uczy, gościnność i serdeczność gospodarzy, nie możemy winić nikogo o to, że w Przemyślu nie znalazła się dostateczna liczba dotyla wytressowanej służby, aby z trudnego zadania obsłużyć naraz tak wielkiej liczby gości mogła się wywiązać bez zarzutu. Orkiestra grała melode narodowe, ożywienie wzrastało, posypały się toasty, których naliczyliśmy blisko dwadzieścia. Piękny był toast wice-marszałka rady powiatowej, na cześć pedagogów wniesiony, pięknie odpowiedział prezes Sawczyński toastem na cześć Przemyślan. Pięknie przemówił ks. kanonik Glazer, objawiając pozdrowienie i błogosławieństwo, zlecone mu przez arcybiskupa tym, co zaszczipiają moralność i miłość w sercach młodzieży; piękne były inne toasty: ale najwydatniejsza i pełna głębszych myśli było, niemieckie wprowadzie, przemówienie feldmarszałka porucznika barona Hempflinga; żołnierz ustąpił tu pierwszeństwa nauczycielowi: inteligentna, dobrze przygotowana przez nauczycieli armia, nie będzie niszczyć, ale bronić całości i nietykalności tego, co jest nabytkiem cywilizacji, swobody i ustawodawstwa, co skarb najwyższy narodu i państwa stanowi. Krótko, po rusińsku, przemówił włościanin Oleksyn, dziękując nauczycielom za szczepienie uczuć zgody i miłości pomiędzy dziećmi ludu; serdecznie i porywająco wznosił wreszcie toast „kochajmy się!“ najczynniejszy gospodarz uczy, prof. Jan Lewicki.

## V.

### Zakończenie.

Opowiedziane tu trzy dni obrad nie dają jeszcze dostatecznego pojęcia o całorocznej pracy członków Towarzystwa Pedagogicznego, o jego postępie i działalności, koncentrujących się w Zarządzie; dorzucimy tu jeszcze parę szczegółów, poczerpiętych przeważnie z dorocznego sprawozdania. Towarzystwo liczy 2.210 członków — w 39 oddziałach z 65 kółkami; wprawdzie kilka oddziałów nie daje nawet śladów życia, nie nadesłało sprawozdań, ztąd i członkowie ich nie są ogólną liczbą objęci; za to inne oddziały i kółka, zwłaszcza młodsze, dość są czynne, — wnoszą o tem możemy z licznych konferencji, rozpraw, odczytów, na które się gromadzą. — naliczyliśmy blisko dwieście rozpraw i odczytów, z zakresu metodyki przeważnie. Odczyty takie ściśle się łączą z praktyką szkolną i mogą podać środki postępowania niejednemu, młodszemu zwłaszcza, nauczycielowi; zauważyliśmy np., że w kilku miejscach rozprawiano o jankaniu. Jest to kwestya ważna, zaniedbywana wszakże przez wielu nauczycieli. Zdaje nam się jednak, że nauczyciele galicyjscy więcej z natchnienia, z przypadkowych danych empirycznych, niż ze stanowiska naukowego na rzecz się zapatrują. A przecież daleko powszechniejsze są wypadki innych różnych zбочeń mowy, niż jankania; tu należą różne rodzaje dysfrazji, jak: gęga-

nie, krzakanie, trzepotanie, — tudzież dyslalii, jak: bełkotanie, szczebiotanie, paplanie. Dopóki nauczyciele wszystkie te zбочenia nazywać będą postarem jankaniem i nie rozróżnią ich należycie, dopóty z miejsca nie ruszą, gdyż każdy rodzaj zбочenia mowy innych sposobów metodycznych wymaga.

Towarzystwo utrzymuje funduszami, staraniem, bezpłatną pracą członków, szkoły żeńskie w Jaśle, Kołomyi, Sanoku, Stryju; szkoły takie po należytem rozwoju przechodzą na etat miejski i przekształcają się na sześćio-klassowe szkoły wydzielone dla dziewcząt. Tak stało się ze szkołami w Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnowie, tak stać się ma teraz ze szkołą w Kołomyi. Towarzystwo tym sposobem ma zasługę w organizowaniu szkół, a gdy te opieki jego już nie potrzebują, może zwrócić działalność swoją w innym kierunku. Właśnie od pewnego czasu silnie wpłynęło na rozwój szkół przemysłowych, utrzymując takie szkoły w Drohobyczu, Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Sokalu, Stanisławowie, Tarnowie, i najnowszą, bo założoną dopiero w r. b., szkołę w Brzeżanach. Jeżeli Lwów nie ustępuje Warszawie w silnem rozwinięciu kolonii wakacyjnych, to tylko Zarządowi Towarzystwa zawdzięczać winien; jego to staraniem, a zwłaszcza zabiegami i trudem wice-prezesa D-ra Gerstmana, już trzeci rok setka przeszło wątłych lwowskich dzieci z dobrodziejstwa kolonii wakacyjnych korzysta.

Zarząd przyczynił się do większego rozpowszechnienia i powiększenia co do treści organu Towarzystwa „Szkoły“, a wydawnictwa swoje do pokąźnej cyfry 172 dociągnął.

Ćwierć wieku dobiega od czasu, jak najpomyślniejsza gwiazda zaświeciła Galicyi, ćwierć wieku dobiega od reformy szkolnej w tym kraju; a jednak stoi on dziś jeszcze najniżej podobno pod względem stosunków szkolnych ze wszystkich krajów monarchii austriackiej. Nie winimy tu Towarzystwa Pedagogicznego: stosunkowo do tego, co w jego mocy było, zrobiło ono wiele; niemniej przeto wiele mu jeszcze pozostaje do zdziałania, zwłaszcza teraz, skoro od pewnego czasu zapanowały prądy, niezbyt przychylnie szkole ludowej. Towarzystwo ma jeszcze przed sobą dużą drogę do przebieżenia. Poziom moralny nauczycieli ludowych — mówimy to w ogólnem znaczeniu — nie podniósł się jeszcze dotyla, aby mogli oni sami sobie i o sobie radzić, stan swój godnie reprezentować. Professorowie gimnazjalni, choć mają już swoje towarzystwo i powagi, z Wysokiej Rady szkolnej, choć Towarzystwo prywatne byłoby swobodniejsze bez figur urzędowych, potrzebni są jeszcze do czasu nauczycielom ludowym, którzy sami nie potrafiliby, sądzą, utrzymać Towarzystwa na tym stopniu opinii publicznej, rozwoju i działalności, na jakim się obecnie znajduje. Nauczycielki nie odpowiadały dotąd słusznym oczekiwaniom, powstałym po założeniu trzech seminaryów nauczycielskich żeńskich; w Towarzystwie przynajmniej niewiele znać ich współdział. Występują wprawdzie niektóre nauczycielki nawet na walnych zjazdach, jak: Fryderyka Zielonka w Sączu, jak Scisławska w Tarnowie; ależ to są osoby wyjątkowe i bodaj czy nie sięgające w dawniejszą epokę początkowem swoim uzdolnieniem. Co gorsza, nauczycielki na zjazdach dają niekorzystne o sobie świadectwo; obradami mało się interesują, a niektóre z nich zwracają na siebie uwagę ogólną dziwactwem i jaskrawością strojów, brakiem smaku i brakiem powagi. W oczy wszystkich obecnych na zjeździe np. ostatnim, rzuciła się młoda nauczycielka wybrykami tualety, co pół dnia innej, paleniem papierosów wobec kilkuset osób przy podwieczorku w Dobromilu, nietaktownem zachowaniem się towarzyskiem. Może kto powiedzieć, że to wyjątek, ależ to nie pierwszy taki wyjątek.

Zapytujemy: co sędzić o pozostałych nauczycielkach, licznie dość przybyłych do Przemyśla, które nie postarały się zreflektować przedstawicielki swej płci i zawodu w gościnie publicznej, na którą patrzy cały stan nauczycielski, patrzą bardzo szerokie koła publiczności przez oczy licznych sprawozdawców prassy?

## PRZEKŁĘTA WIOSNA.

NOWELLA

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dokończenie).

### III.

Dzień za dniem upływa, miesiąc schodzi za miesiącem, a rok jeden spycha drugi, aby potem ustąpić trzeciemu, wszystko zmienia się, rośnie lub maleje, jedno rodzi się, drugie umiera. Czas przynosi ludziom niespodzianki, smutne zawyczaj, rzadko wesołe; budzi coraz nowe nadzieje, żądze, pragnienia, ale nigdy, nawet w kaprysie największej szczodrości, nie daje tyle, ile sami żądamy i obiecujemy sobie.

I pani adwokatowa nie może doczekać się spełnienia obietnicy, którą sobie sama w imieniu męża była zrobiła. Zaprażyła postępu w dobrym byciu, w blasku zewnętrznym, w świetności domu, zaprażyła zbliżyć się do tych, co jej tak wiele swą zamożnością zaimponowali byli; a tymczasem z przerażeniem widzi, że nie postępuje dalej, ale cofa się raczej.

Właściwie jest to tylko złudzenie optyczne. Nie cofają się oni bynajmniej, ale stoją w miejscu. Mąż wszelkich starań dokłada, aby wystarczyć na to, co zwyczaj uświęcił w ich domu. Jakiemi to ofiarami się dzieje, o tem żonie nie powiada; wstrzymuje go дума, wstrzymuje obawa przykrości, którą przynieść może chwila wyjaśnienia; ona zaś, choć czegoś dopatruje, choć coś przeczuwa, nie myśli nawet wejrzeć w istotę rzeczy, aby nie potrzebowała robić ustępstw, wyrzekać się czegokolwiek, a żadne wyrzeczenie się nie jest, nie może być rozkoszą.

— Zresztą — myśli sobie, tonąc duszą w wygodnym optymizmie — gdyby nawet coś było nie tak, jak należy, to przecież on jest mężczyzną, on temu zaradzi.

I w uspokojonem sercu powstaje pragnienie zadowolenia nowych rodzących się potrzeb, nowych zachcianek, i wysuwa niby to prośbę, niby to żądanie, okraszone zdradzieckim umizgiem.

— Moja droga — odpowiada mąż — wstrzymaj się, poczekaj trochę. Mamy teraz zastój w interessach, a nikt tak nie odczuwa tego, jak my, adwokaci.

Piękne czołko fałduje się, a ten wyraz niezadowolenia powtarza się już tak często, że na gładkiem niedawno czole bruzdy szpetne się woryły.

— Zawsze wymówki, zawsze każesz czekać tylko.

— Alboż nie dotrzymałem kiedy obietnicy?

— Nie dotrzymałeś najważniejszej. Pamiętasz? w ten dzień wiosenny, gdy słowik śpiewał, pluskotał wodotrysk, a ciepły wietrzyk muskał nam skronie — przyobiecałeś mi, wobec pogodnego, jasnego nieba, zadowolnić wszelkie moje pragnienia, spełnić każde marzenie moje.

— Obietnice były obustronne — mówi mąż głuchym, jak dzwon żalobny, głosem. — Dziwna rzecz, iż pamiętasz jedną tylko, korzystniejszą... dla siebie.

Grot ostry trafił głęboko, głębiej, niż strzelec zamierzał. Kobieta drgnęła, krew uderzyła jej do twarzy, z ust popłynął potok słów obfitych, a każde słowo było niby krzemyk z dna potoku, gładkie na powierzchni, a ostre po brzegach, — możnaby krajać takim krzemieniem, niby nożem.

Mężczyzna nie odpowiadał, patrzył tylko z po-delba na żonę, a w oczach przeblyskiwały dziwne blaski, niby iskry, odrywające się od wnętrznego płomienia, ciemno-purpurowe, gasnące powoli. Kiedy skończyła, aż cofnęła się przelekła; oczy jego uderzyły ją w samo oblicze, niby cios tępego narzędzia, dziki wyraz rozpaczliwej nienawiści odepchnął ją nielitośnie, usta jego drgały, zdawało się, że okropne piorunowe słowo



z nich wypadnie.—ale mężczyzna wstał i wyszedł chwiejącym się krokiem.

Sceny te powtarzały się kilkakrotnie w przeciągu miesiąca, potem stawały się coraz częstszymi, aż przeszły w codzienny zwyczaj, w walkę, już nie tak srogą, ale zato... powszednią. Czasami kobieta traciła wszelką równowagę—wybuchła wyrzutami tak strasznymi, tak posuniętymi do ostatecznych granic, a tak nierozsądnymi, że niepodobieństwo, aby sama niedorzeczności ich nie rozumiała... a jednak...

Taki potok wyrzutów mąż poraz pierwszy próbował zatamować, usprawiedliwiając się tchórzliwie, drugi raz wpadł w szaloną wściekłość, później zaś milczał, niby zakłęty, i copędzej wychodził z domu.

Ostrożnie wszczynał każdą rozmowę, aby czasem nie poruszył słabych stawideł, powstrzymujących nierozsądek żony, aby przez usta jej nie buchnęła cała powódź słów niebacznych, niedorzecznych, a grzesznych w swej bezmyślności złośliwej. Małżeństwo mówiło ze sobą bardzo mało; w każdym słowie wzajemnie dopatrywało przycinków, skarg tłumionych, wyrzutów bolesnych, objawów cichej, ale nieustannie wrzącej nienawiści. Chwile przeżyte razem spędzały oboje w duszącej atmosferze nieufności wzajemnej.

Jeszcze straszniejsze były chwile odosobnienia i samotności. Pamięć nasuwała ciągle doznane niby urazy i krzywdy; wspomnienia scen nieznośnych kłębiły się w wyobraźni, a dawniejsze i świeższe rany odnawiały się boleśnie i paliły w głębi piersi, podrapanej, rozdrażnionej od codziennej walki. Żona wyrzucała sobie nieogłędne uniesienia, słowa miotane bez rozwagi, a kończyła na żalu ciężkim do człowieka, który nie umiał ani zaspokoić, ani opanować chociaż jej pragnień. On znowu gniewał się sam na siebie; nazywał siebie pantoflem, niedołęgą, szarpał bez litości własne łono, a w końcu zacierał wszystko dzikimi klątwami na kobietę, co go w ten stan wtrącała. Nie mówili już niemal nic do siebie, ale dręczyli się widokiem siebie, myślą, wspomnieniem o sobie.

Opatrzność nie dała im silnego węzła, spajającego tylekroć rozluźnione ogniwa wychłodłej z biegiem czasu miłości. Nie powstała w ich domu maleńka kołyska, nie zakwiliła dziecina bezświadomym na dolę człowieczą lamentem, nie trwożyła rodziców troską o to, czy się wychowa, ale i nie cieszyła dumnymi nadziejami; przyszłość nie uśmiechała się w tym osamotnionym domu, który znał tylko terażniejszość w postaci gderliwej, złośliwej, dokuczliwej, z twarzą wykrzywioną od kwasów wewnętrznych.

Pan domu coraz mniej w nim bawi. Pani spędza całe dnie samotnie, próbując rozrywać się czytaniem książek, — głównie, a raczej wyłącznie, romansów, — ale widzi jedynie, jak nudnie autorowie przesypują w nich jednakie słowa, jednakie myśli i obrazy. Na nudy i samotność nie szuka wszelako lekarstwa w tym trującym chwaście: w pocieszycielu żony zaniedbaniej. Jej twarz zboliała, ale dumna, wżgardliwie odpycha każdego tuzinkowego Lowelasa; stara krew szlachecka burzy się w żyłach na myśl o rzuceniu choć udanej miłości na pastwę jakiegoś nędzemu rzeźmieszkowi rozpusty. Siedzi więc tylko przez okno na ulicę z apatyją, na dnie której niema rozpacz się wykluwa.

Naprzeciwno opuszczonej kobiety mieszkają dwie stare panny. Z poza firanek po całych dniach obserwują jej osamotnienie, doskonałą lornetkę przykładają do oczu, aby znużenie i boleść wyraźniej na jej licach wyczytać.

— A co? czy nie przepowiedziałam wtedy w ogrodzie—mówi jedna do drugiej, krzywiąc się ze złośliwym zadowoleniem. — Powiadałam, że głupia, iż mu wierzy. On ją zaniedbuje, opuszcza, zdradza niewątpliwie; ot ma teraz jego poetyczne obietnice i przysięgi.

— A jaki mu raj zgotowała—wtóruje druga—aż z niego biedak ucieka! Patrzmy tylko dalej, a zobaczymy niezadługo, że i ona go zdradzać będzie... będzie... niechybnie będzie.

— A jak ślicznie im się darzy!—zaintonowała pierwsza.—Słyszałam od kuzyna Marcjana, że

mu adwokatura idzie, jak cyganowi rola. Ale bo też podobno wziął się nie do swoich rzeczy.

— I ona też śliczna lala, gospodyni aż miło. Ciągłe w oknie, albo rozwalona z książką na kolanach. To też długów pełno na wsze strony; już w sklepiku im na kredyt dawać nie chcą.

Obie przekwitłe lilie panięskie szydzą, śmieją się, jakby ich jakieś niezwykajne szczęście spotkało; naraz zawołały *unisono*:

— Jakto dobrze, żeśmy za mąż nie poszły!

Czy te słowa zgodne były z przekonaniem? kto to zbada, kto to nawet badać będzie.

Mąż tymczasem cały dzień zajęty sprawami sądowymi, a jednak snadź Marcjanek miał słuszną, mówiąc, że się nie do swoich wziął rzeczy. Jakby nosił w piersiach żmiję, co z niego soki żywotne wysysa, chodzi niby bez duszy, wszystko robi połowicznie, niedołącznie, brak mu energii, sprytu, nawet przytomności umysłu. Nietylko z potentami adwokatury mierzyć się nie może, ale nawet lekceważą go miernoty, obdarzone tylko sporą dozą zuchwalstwa i zaufania w siebie; nawet głupi, ale przebiegły Marcjanek nad nim się... lituje. Koledzy, co go znali w uniwersytecie, dziwią się, że z tak obiecującymi zdolnościami prawniczymi na tak lichego wyszedł adwokata.

Skoro skończą się rozprawy sądowe, nasz adwokat nie spieszy do domu, jakby go tam nikt nie oczekiwał. Wstępuje do podrzędnej cukierni na ustronnej ulicy i siada w kącie przy stoliku, na którym zasolony chłopak stawia przed nim szklanekę przeciagniętej lub nienaciągniętej herbaty. Pod ścianami siedzi cały rząd takich samych ludzi bez domu, nie mających co robić z czasem; z jednego kąta wзира twarz cierpkiego wdowca, który w kwaskowatym humorze konserwuje się, niby marynata w occie.

Wdowiec osłupiał na widok adwokata, przygląda mu się ze zdziwieniem, a potem myśli sobie:

— Co to? Czyżby owdowiał? Ależ nie, nosił-by przecież żałobne wypustki na klapach surduta. Rozumiem, kochanećku! tyś się zapisał do naszego cechu, bo ci tam nie rozkosz w domu. A co? czym ci nie przepowiedział tego wtenczas w ogrodzie?

Adwokat rozgląda się obojętnie po obecnych, pije herbatę, której smaku nie czuje, czasami przypatruje się z pozorną uwagą, jak przy sąsiednim stoliku dwaj emeryci grają w domino, to znów wlepią oczy w drzwi otwarte do drugiego pokoju, gdzie widać kulki bilardowe, biegające po zielonym polu, k'woli uciecze niedouczonej, lubo dorosłych już, dzieci.

Po jakimś czasie bierze gazetę do ręki, czyta powoli, przeslizguje się po czczych nowinkach dziennych, tłumiąc mimowolne ziewanie. Naraz z pomiędzy zadrukowanych wierszy tryska prąd elektryczny, wstrząsa jego wnętrzem, budzą się odległe już wspomnienia i splotami Laokonowych węży ścisną umysł i serce.

Ach! i on kiedyś pragnął przemawiać do narodu, do ludzkości, drukowanem słowem, i on nosił w duszy żądzę wyższych celów, i on marzył, że będzie mężem nauki, pracownikiem, przygotowującym przyszłą epokę.

Ogarnia go dzika chęć snucia dalej swych marzeń, zdaje mu się, że jeszcze czas nie pozrywał owych nici uroczych... wtem z pod pułapu z jednego kąta wзира straszne oko—to niemożliwość wpatruje się weń wzrokiem Meduzy, wzrokiem, od którego kamienieje wnętrze człowiecze.

Przerażony odwraca się do innego kąta, ale tam widzi postać z białym, jak czyste srebro, wąsem, w mundurze, jakiego już nikt nie nosi, z okiem surowym, a tkliwym, niby potępijącym, niby pełnym listości—i słyszy głuche brzmienie słów:

— Bądź, synu, twardym jak kamień, stałym jak opoka, a świat zwyciężysz.

#### IV.

Znowu opuśmy lat kilka, czy snadź kilkanaście, i przyjrzyjmy się teraz, co się z naszą parą dzieje. Na schyłku pogodnego dnia jesienno,

siedli oboje w ustronnej alei Ogrodu Saskiego, w tejże samej, gdzie przed laty wzajemnie sobie przyrzekali trwałe szczęście we wspólnem pozyciu. Dzień był dziwnie jasny i ciepły, słoneczko świeciło i przygrzewało tak starannie, jakby w końcowych dniach majowych. Chciało złudzić ziemię pozorami wiosny, ale nieboga obejrzała się po sobie, spostrzegła plony sprzątnięte, trawy powiędłe, pożółkłe liście. Smutno jej się zrobiło, bo czuła dobrze, iż to wcale nie rozkosznych dni zadatek, ale ostatnie ciepłej pory pożegnania, i zdawało jej się, że już słyszy dalekie, ale coraz bliższe kroki okrutnej, nieubłaganej zimy. Uśmiechnęła się jednak do łaskawego słoneczka, ale tym słabym, bolesnym uśmiechem, co krasi nieraz poblądle lica dziewicy, której wewnątrz nieuleczona nurtuje choroba.

Takiz sam uśmiech gości i na twarzy naszej pary. Oczy przygasły u obojga, u mężczyzny włos pobieliał przy skroniach, z lic kobiety starł się całkowicie rumieniec świeżości, nielitosne zmarszczki skazyły i zmąciły dawniejszą krągłość. Na bladych obliczach wypiętnowała wyraźnie ślad swego przeżycia sroga dręczycielka rodu ludzkiego—choroba.

Istotnie, przed kilku miesiącami mężczyzna, znużony pasowaniem się z nieuciesznymi okolicznościami żywota, zmęczony niepowodzeniami wszelkiego rodzaju, padł na łożo. Żonie przydało zadanie pielęgnowania chorego. Gdy widziała męża beprzytomnego, wiszącego pomiędzy życiem i śmiercią, gdy patrzyła na oblicze jego, targane bólem i gorączką, przelęknęła się rozstania z towarzyszem, który w ostatnich czasach przed chorobą obojętnym jej się był wydawał. W bezsennych nocach, spędzanych przy jego łożu, powracała jej myśl, którą dawniej odganiała zawzięcie, myśl, że nie pił on słodyczy z pułahu żywota i że niemało połunu własną dolewała mu dłoń. Ze strachem myślała, iż może odejść z tego świata z pamięcią o ciernistej, kamienistej doli żywota, z żalem do niej; że nie jeden cień, nie jeden kamień ona mu rzuciła na drogę, ona, co mu przyrzekała była zcieranie chmur z utroskanego czoła, ozłocenie życia, raj i szczęście.

Męczące musiały być te myśli, targające okrutnie wnętrze kobiety; bo, gdy mąż powracać zaczął do zdrowia, ona położyła się do łóżka. Teraz na niego przyszła kolej pielęgnowania towarzyski żywota. Z boleścią poglądał na twarz, niegdyś tak piękną, a dziś wykrzywioną do szpecności cierpieniem, i wspominał sobie jej życie samotne, opuszczone, oddane na łup smutnych myśli, pragnień niezaspokojonych, skarg na losy i na... niego także. Wyrzucał sobie, że nie zdobył się na większą energię w zyskaniu środków, za które mógłby zaspakajać jej życzenia, to znów mignęła mu myśl, że snadź była-by spokojniejszą, gdyby umiał był jej duchowi rozumniejszy nadać kierunek. Serce rozdierało się w nim na dwoje i modlił się o przedłużenie dni chorej, aby mógł względem niej wszystkie winy dawniejsze naprawić.

Nareszcie i kobieta powróciła do zdrowia. Choroba stała nad nimi niby surowy anioł karciciel, a potem pozostawiła na pociechę.. zbawienną naukę. Jednego dnia mąż wyszedł, bo go pilne powoływały sprawy, a gdy wrócił, z oczu jego wyglądało przygnębienie i rozpacz.

— Co ci jest? Powiedz, na Boga! — zapytała przerażona małżonka.

— Położenie nasze jest ciężkie, okropne! stoimy nad przepaścią, jeden krok tylko, a na jej dno spadniemy.

Żona milczała i patrzyła na męża osłupiałym wzrokiem.

— Kryłem przed tobą oddawna stan interesów, lękałem się bowiem twoich wyrzutów. Zabrnąłem tak daleko, jak daleko może zabrnąć człowiek, któremu w niczem się na świecie nie wiedzie.

Te ostatnie słowa wymówił cicho, jakgdyby pragnął przytępić ostrze, którem sumienia kobiety dotknąć musiały.

Ona patrzyła długo przed siebie z niewysłowioną boleścią, w głowie jej kłębiły się myśli niejasne, ale straszne w swej nieoznaczoności.



Naraz zerwała się z miejsca, niby pchnięta jakimś stanowczością natchnieniem.

— A czy niema punktu wyjścia? — zapytała.

— Byłby snadź jeden.

— Jaki?

Mężczyzna milczał; widocznym było, że waha się powiedzieć.

— Mów, mów! nie oszczędzaj mnie — nalegała żona.

— Zerwać z dotychczasowym sposobem życia, skazać się na pracę wysiloną i niedostatek...

— Nie cofajmy się przed niczem.

— Na prowincyi było-by nam łatwiej; tam i warunki życia przystępniejsze, i współzawodnictwo nie tak zacięte, silniejsi nie przygniatają tak słabszych. Gdybyś się zgodziła...

— Opuścić Warszawę? Ależ bez namysłu, jeśli ty tego pragniesz. Pójdę za tobą, choćby na pustynię. Przecież my sami sobie wystarczać możemy.

I postanowienie to splotło małżonków w serdecznym uścisku, i serca ich powiązała nowa nić, ze szczątków starej, dawno pozrywanej, wysnuta.

Dziś, w przededniu wyjazdu z Warszawy, obezszli na pożegnanie całe miasto, przyjrżeli się z rozrzewaniem kamieniczkom na ustronnej uliczce, gdzie na poddaszach spotkały się ich oczy i serca, kilka słów rzucili starej topoli, która już schnąć poczyna, a teraz siedli na owej ławce, co przed laty ich czułe przysięgi i obietnice była słyszała.

I dziś przypominają sobie owe chwile tak żywo, jakgdyby to było dopiero wczoraj; wspominają i to, co potem zaszło, ale wydaje się im to jedną dławką, ponurą nocą, która owe dwa dni odzieliła od siebie.

— Drogi mój — mówi kobieta i w oczach jej blask nowy pała — przyrzekaliśmy sobie szczęście zgotować na świecie, a tymczasem...

Łzami zachodzą jej oczy, zwraca je niesmiało ku oczom towarzysza, ale w nich nie czyta wyrzutu i żalu.

— Przyrzekaliśmy — mówi znowu — i dotrzymamy, musimy dotrzymać. Przysięgam ci z mej strony...

— Daj pokój — przerywa mąż z łagodną powagą. — Szalone były-by te przysięgi, jak szalone były naonczas. Po co ludzie w chwilach miłosnych uniesień przysięgają sobie to, co nie jest w ich mocy? Przyrzeczmy sobie raczej wzajemną pomoc w trudach, pociechę w troskach i strapieniach, słodkie napomnienie w błędach, i... przebaczenie, gdy go będzie potrzeba.

Z wieży kościoła Reformackiego odzywa się dzwon wieczorny, a głos jego zdaje się mówić słowami Hioba:

„Człowiek, urodzony z niewiasty, żywiąc przez czas krótki, napelnion bywa wielą nędzą.“ I głos jego brzmi długo, przeciągle, zda się, jakoby mówił do ludzi:

— Śpieszcie się żyć sprawiedliwie, śpieszcie miłować i czynić dobrze, bo czas ucieka, a śmierć podąża za nim skwapliwie, aby kłaść koniec życiu i obowiązkom...

Kobieta skłania głowę na ramieniu mężczyzny, patrzy mu w oczy, jakby pobudzała, aby mówił dalej.

— Szaleństwem jest — mówi mąż — przyobiecywać to, co nie jest w naszej mocy; szaleństwem jest domagać się od innych spełnienia tej zbyt zuchwałej obietnicy. Nie na szczęście rzuceni zostaliśmy na ten padół łez i trudów. A jeśli Bóg nieraz coś nam z owego skarbu użycza, kłucza do niego nie daje nigdy w nasze dłonie...

\* \* \*

Przeklęta wiosna! ona czarem ciepła i woni tak zmążyła i umysł upaja, że człowiek zapomina o zwykłej roku kolei, o skwarnej lecie, dżdżystej jesieni i zimie twardej, chłodnej, jak lono mogiły. Ona mami i ludzi człowieka tak, iż niebacznym przyrzeka to, czego samowolnie dać nie może ani sobie, ani innym.

## Korresponencya zagraniczna.

Poznań w Sierpiu 1885 r.

Kiedy p. Bismarck odgradza Niemców od innych narodowości ostrym żywoptem, aby nie już ich rozwoju nie głuszyły, sami Niemcy nie przestają opuszczać tak starannie utrzymywane go wawrzywnika i podawnemu ulegają ciągle pokusie zamorskich wędrowek, aby w Ameryce szukać szczęścia i zakosztować swobody. Obliczono świeżo, iż w bieżącym wieku odpłynęło przez porty niemieckie i Antwerpią około sześciu milionów wychodźców do Ameryki. Najwięcej emigrowało bezpośrednio po wojnie francuskiej. Wprawdzie ten milionowy ubytek niezbyt się czuć daje w państwie, gdzie przewyżka narodzin wyrównywa wszelkie straty w ludziach. Ale tu mniej na liczbę, aniżeli na wartość, zważać trzeba. Otóż z tego względu dotkliwszym bywa ubytek, że wychodzą w większej części ludzie w sile wieku, młodzieńcy, pełni obrotności, zdolni i zdolni do pracy, i to bynajmniej nie proletaryusze. Aby tak daleką podjąć drogę, trzeba mieć odpowiedni fundusik. Obliczenia przekonują, iż, gdyby każdy emigrant wywiózł z sobą tylko 400 marek, pięć milionów wychodźców jużby wyniosło z kraju dwa miliardy. Ruch ten nie ustaje, aczkolwiek widoki powodzenia w Ameryce się zmniejszają. W pierwszych czterech miesiącach b. r., wyszło z Niemiec około 60,000 osób, przeważnie z Prus, a więc i z Poznańskiego, i z obu naszych prowincyi pruskich. Sądząc po otrzymywanych wiadomościach z za morza, przeciętnie dobrze się tam naszym wychodźcom dzieje. Na stu, dziesięciu marniejsi i przepada, dziesięciu po doznany zawodzie wraca w ojczyste strony; pozostałych ośmdziesięciu dobija się już uczciwą pracą niezależności materyalnej. Oczywiście stanowi to procent olbrzymi. Badano przy czynny nagłego upowszechnienia się emigracyi wśród ludu, do niedawna wrosłego w granicy własnej wioski lub parafii. Podejrzewano agentów, grających rolę kusiciel. Pokazało się wszakże, iż wpływ owych agentów był wcale nieznaczny. Pochop do wychodźstwa dała niewątpliwie kampania francuzka. Nie jeden „Bartek zwycięzca“, przypatrzwszy się dobrobytowi wiejskiemu francuzkiego chłopca, zamarzył o polepszeniu dotychczasowego losu, przekonał się o łatwości podróżny, stracił tajemniczą groźbę odległości. Zaledwie kilku wyemigrowało i z jakim takim powodzeniem rozpoczęło życie za morzem, zaraza, ich listami szerzona, jeła ogarniać nasze sioła. Krewny krewnego za sobą pociągał, jak kamień w wodę rzucony wytwarza szereg kółek i kółeczek na spokojnej dotąd fali. Czego nie dokazały listy, tego dopełniły tak zwane „szyfkarty“ w języku ludowym, niemczyzną skażonym. Zamorscy osadnicy kmotrom przysyłali karty przewozowe; najprzezorniejsi, na widok takiej karty, decydowali się. Zniżenie taryfy okrętowej nie mało się przyczyniło do pomnożenia liczby wychodźców. Dziś już można za 30 marek odbyć tranzatlantycką wycieczkę. Bywają też okolice w naszych stronach, z kąd robotnicy wiejscy po żniwach na całą zimę do Brazylii płyną, wracając z wiosną nieraz ze znacznym zarobkiem, jeśli ich klimat morderczy oszczędził. Tyle pewnego, że zamorskie wędrowki nierównie mniej moralnego szwanku ludności naszej przynoszą, aniżeli bliższe za chlebem wycieczki do północnych Niemiec, Saksonii i fabryk nadreńskich. Tu na nich czyha socyalizm i duch zatruty europejskich robotników; w Ameryce *business* wszystkie zdolności pochłania, o mrzonkach zasadniczych niema czasu rozprawiać. Niegdyś Stany Zjednoczone głównie skupiały prąd emigracyjny. Dziś się fala wychodźstwa rozdziela między dwie Ameryki, a Argentyna o lepsze walczy z Kanaadyjskimi osadami, aby nęcić europejskich przybyszów. Tyle pewnego, iż usiłowaniu rządu, aby skierować bieg emigracyi ku nowym niemieckim

koloniom, do Kongo i Kamerunu, lub Angra Pequena, dotąd spełzły na niczem; uprawnione bowiem głosy ostrzegają kolonistów, iż brak wody, jałowość gruntu i morderczość klimatu zarówno odstręczać powinny od afrykańskich wybrzeży.

Cokolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, że grunt starej Europy z pod nóg się już usuwa, i że wyszło do pewnego stopnia lono tej odwiecznej karmicielki ludów. Stosunki rolne z dniem każdym się zaostrzają. Cena produktów s ada aż do śmieszności, cena robocizny się podnosi, konieczne wkłady nie procentują się wcale. Zwątpiwszy o korzystności zboża, wobec amerykańskiej konkurencji, rzucono się na fabryki, jako na jedyny zbawienny środek ocalenia większej własności. I oto, po kilku latach zaledwie cukrowniczej gorączki, fabryki cukru i spółki w tej mierze zawiązane nawet dywidendy nie płacą, a niejedna już, po krótkotrwałym żywocie, upadła. Z gorzelniami podobnyż zawód. Główne targi świata tak są zawalone spirytusem z przeszłego roku, iż oczywiście wypalana zimową kampanią okowita jeszcze spadnie w cenie, co i na ziemiakach złowrogo zacięży. Słowem: nie wiedzieć już, z czego ciągnąć dochody, bo i mięso, i mleczywo również mało się opłaca. Są przemysłni gospodarze, którzy, zwłaszcza na mniejszej własności, zrywają zupełnie z tradycjami dotychczasowego rolnictwa, biorą rozbrat z żytem i pszenicą, aby natomiast hodować tytuń, mak, len, cebulę, sorgo (rodzaj prosa), soję i inne rośliny mniej znane, próbując szczęścia na jałowionych dotąd polach produkcji. Czy skutek pomysłny owe próby uwieńczy? bliska okaże przyszłość. Tyle pewnego, że otworzenie drogi handlowej przez międzymorze Panama gotowe zadać cios śmiertelny już i tak dogorywającemu europejskiemu rolnictwu.

Pod naciskiem owych coraz trudniejszych stosunków, nie dziw, że kwestyonaryusz, postawiony przez czasopisma warszawskie, głęboki wśród nas budzi interes. Odpowiedzi wam przesyłane czytamy tu z zajęciem, i snujemy dalej wątek nasuwających się ztąd wniosków i reform koniecznych. Co do oszczędności, ta w Poznańskiem dość ogólnie się już przyjęła: przewodnie rody i domy dają piękne przykłady ładu i skromności; zbytek czepia się zaledwie kilku nazwisk, wyłącznie poniekąd do dawania złego przykładu przeznaczonych, ale są to niktające wyjątki, a ogół roztropnie skłania się do wymagań chwili i obowiązku, koniecznością spotęgowanego. Oszczędność więc się znalazła, niemal tak wielka, jak u Niemców. Czemuż tedy podobnie, jak Niemcy, nie wystarczamy? klucz zagadki pono leży w niedołężności naszej. Ograniczamy się prawda w wydatkach, w rozchodzie, ale nie umiemy, na wzór naszych niemieckich sąsiadów, mnożyć dochodów własnym przemysłem i zachodem. Panie nasze, mianowicie, nie wprawiły się jeszcze dostatecznie w ową powszednią industrię, która tyle ulgi ich małżonkom przyniesie może. A nie tylko ogrodnictwo lub kobiece gospodarstwo może w chwili obecnej przysporzyć grosza na codzienne domowe wydatki. Koszykarstwo, słomianki, sznury konopne, konserwy z warzyw i owoców: oto rozszerzone ramy zabiegów niewieściach, aby niktające na szerszym polu dochody znaleźć w ciśniejszym zakresie. Potrzeba tylko czynności osobistej i specjalnej w każdym kierunku wprawy, bodaj nauki nawet, o co nasze panie nie dość się starają, w błędnym przypuszczeniu, że jakoś to będzie, jakoś się zrobi... Dziś zaś w stosunkach ekonomicznych tak się wszystko na świecie całym układa, że tylko doświadczeniem i dokładną znajomością techniki każdego, choćby najdrobniejszego, przemysłu, osiągać można korzyści.

Wybory do sejmu znów ożywią niebawem naszą społeczność; w tej chwili pora ogórkowa zawisła nad wszystkimi naraz polami umysłowości, piśmiennictwa i polityki zarazem. Miasto nasze puste, nowości literackich nie widać wcale na szarym widnokręgu ustalonej powszedniości. Drukujący się w odcinku *Kuryera Poznańskiego* „Potop“ Sienkiewicza, nie mniejsze od poprzedniej jego powieści budzi zajęcie.

W przyszłym miesiącu nastąpi zapewne wybór



prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w miejsce nieodżałowanego śp. Stanisława Koźmiana. Służne w tej mierze powstają obawy, aby wględy, niemające nic wspólnego z dążeniami naukowymi i poważną uprawą umysłowości, nie wyniosły na to stanowisko mniej odpowiedniego człowieka, dlatego tylko aby mu zapewnić stały dochód trzech tysięcy marek, w ciągu całego dziesięciolecia urzędowania odstępowanych na rzecz samej instytucji właśnie przez czcigodnego Koźmiana. Głos ogólny stale za najstosowniejszego następcę po zmarłym wskazuje Augusta hr. Cieszkowskiego, i tylko pragnąc należy, aby grono Przyjaciół Nauk poszło za zdrowym instynktem publiczności, rozumiejącej dobrze, iż na czele podobnych instytucji bliższe powinny nazwiska o europejskim dla świata uczonego znaczeniu.

Pielgrzymka do Welehradu, dla rzekomo sanitarnych względów wstrzymana w Lipcu i Sierpniu, teraz już we Wrześniu niewielu chętnych zgrupowało. Z Poznania jedzie na miejsce deputacya w samym początku przyszłego miesiąca. Trwała pamiątka obchodu jubileuszowego pozostanie w literaturze. Oprócz wydawnictw ludowych, będzie przyswojone mowie polskiej piękne dzieło kardynała Bartoliniego o Apostołach Słowiańskich. Przekładu dokonał, znany z innych prac piśmienniczych, ks. Chwaliszewski. Zbiór to przedewszystkiem dokumentów do historii ś. ś. Cyryla i Metodego i ich apostołowania w Słowiańszczyźnie.

## Kartki z wycieczki do Pesztu.

### I.

Potęga assocjacji. — Via Szerengs-Miskolcz. — Peszt. — Niedziela w Peszcie.

Do wad naszych narodowych potrzeba podobno policzyć brak przezorności: nie lubimy zapuszczać wzroku przed siebie, jakby dla podtrzymania zabobonu o ślepo rodzących się Mazurach, jakby dla stwierdzenia przysłowia o Polaku, mądrym po szkodzie. Zdarzają się przecież wyjątki, zwłaszcza w rzeczach większej wagi, w razach groźniejszych. Obie powyższe okoliczności dadzą się przystosować do mojego wyjazdu na Wystawę Peszteńską. Wprawdzie wybrałem się na ową wystawę, jak zwykły przeciętny letkiewicz, i z lekkim sercem dojechałem do Krakowa; tutaj jednak nastąpiła rozważa. Czy mogę się odważyć jechać pomiędzy ludzi, których języka nie posiadam, którzy, przejęci szowinizmem, tępią wszystko to, co nie jest węgierskie, wtlaczają swój język w usta Słowaków i Sasów siedmiogrodzkich, wypędzają nauczycieli nie-Węgrów? Gdybyż przynajmniej w drodze poduczyć się choć z kiepską powęgiersku mówić; ale to się nie da, czas za krótki, a przytem: jak tu trafić do ładu z językiem, różniącym się od wszystkich języków flexyjnych, z językiem „przyczepkowym.“ Czy można wobec tego być próżnym obawy przyczepki? Widok rynku krakowskiego z Sukienicami i linią A—B z okna kawiarni Rehmana nic nie pomógł na owe trapiące myśli: przeszedłem do czytelnicy i tam dopiero w zadrukowanej bibule znalazłem lekarstwo, które „jak ręką odjął“, poskutkowało. Była to wiadomość o wspólnej wycieczce do Pesztu, po zjeździe w Przemysłu, jaką pedagogzy w szumnych wyrazach zapowiadali. W takim towarzystwie nie zgine przecież—czas nagli; jazda do Przemysłu! Zapowiedziane w Krakowie pierwsze przedstawienie „Konrada Wallenroda“ Żeleńskiego zobaczą za powrotem.

I byłem dobrej myśli, wyruszając z Krakowa i patrząc na kolej Transwersalną: pojedziemy gromadą; potęga assocjacji wszystko przewyższa...

Są choroby, przywiązane do zajęć i zawodów, jak np. kurcz pisarski, choroba telegrafistów, są

zalety i wady, których prędzej czy później nabyć musi człowiek, poświęcający się temu lub innemu zajęciu, czy zawodowi. Nie prędkobymy skończyli z wyliczaniem plusów i minusów zawodu pedagogicznego—ale nie o to w tej chwili idzie. Myśmy doświadczyli, że pedagogzy mają dobre serce, zwłaszcza w czasie wakacji, że niektórzy z nich mają energią, tylko tak nietrwałą, jak gust kobiecy. Przyjmowani, honorowani, kwaterowani, karmieni i pojeni, pedagogzy nie kazali zamknąć bram Przemysłu przed nosem tych wszystkich, którzy się oznakami ich cechu nie wylegitymują. Dzięki tej okoliczności, nietylko widzieliśmy Przemysł świąteczny, ale nawet znaleźliśmy się na uczcie pożegnalnej, na której wypowiedziano kilkanaście mówek, na której pedagogowie gorąco oklaskiwali niemiecką mowę generała, w tem rozumieniu, że pójdą bronić całości monarchii austriackiej. Przekonaliśmy się przytem, że w czasie trzydniowej gościny 300 pedagogów w Przemysłu komitet przyjęcia tak wyczerpał wszelką energią, że o zorganizowaniu wycieczki mowy już nawet nie było. Wiara moja w potęgę assocjacji pedagogów prysnęła, jak bańka mydlana. I tu nastąpiła znowu druga rozważa; zawstydzić się musiałem sam przed sobą mojego projektu: więc jestem niedorostkiem, skoro się bez opieki pedagogów obyć nie mogę. Czując się tak dotkniętym w miłości własnej, powziąłem niezmiennie postanowienie jechać do Pesztu, aby się choć w części przed samym sobą zrehabilitować, za brak odwagi i samodzielności. Wkrótce też znalazłem trzech towarzyszy podróży: byli to dwaj dziennikarze z Królestwa i poważny dyrektor gimnazjum z Galicyi. Widać już tak sądzono było, abym pod opieką, jeśli już nie wielu, to jednego chociaż pedagoga, dostał się pomiędzy Węgrów.

Wszystkie koleje środkowej Europy, a nawet niektóre i południowej, znacznie zniżyły ceny biletów jazdy na Wystawę Peszteńską; a niektórych kolejach zniżenie dochodzi do 2/3 części rzeczywistej ceny biletu. Wydano nam w Przemysłu bilety powrotne klasy II-iej, ważne na 14 dni, po 18 guldenów, przyczem za dopłatą półtora guldena dołączono nam zaraz kartki, za okazaniem których mieliśmy na miejscu otrzymać bilet na loteryę i bilet wejścia na wystawę. Otrzymałszy już tedy w Przemysłu nadzieję wygrania 100,000 guldenów i prawo wejścia na wystawę, z niecierpliwością dążyliśmy do Pesztu. Wyjechalśmy sznelcugiem o 8-iej wieczorem koleją łupkowską (węgiersko-galicyjską). Minęliśmy Chyrów, Podgórze i nocą wzniesiliśmy się na grzbiet Karpat, a przejechawszy Łupków, znaleźliśmy się na stronie węgierskiej; droga ta przez góry co chwila przedstawia nowe i bardzo piękne widoki, jak to w powrotnej podróży mogłem zauważyć. Podgórze, zamieszkałe, jak wiadomo, przez Słowaków i Rusinów, miłe robi wrażenie ożywionym ruchem ludności, obfitością zboża, stojącego podówczas w kopach. Mijaliśmy dalej zielone pastwiska i liczne na nich trzody, a zwłaszcza siwe woły, o rogach rozłożystych i niezmiernie długich. Można było zauważyć wielkie stado trzody chlewnej, spoczywającej pod dachem, umyślnie na ten cel zbudowanym, lub też chłodzącej się w sadzawce, wzdłuż tegoż dachu wykopanej. Znać na każdym kroku staranność zadzwienia okolicy, aby zastąpić niedostatek lasów; najgęściej pokazuje się akacya. Stacje kolei żelaznej stroją się rzędami wielkich, kwitnących właśnie pod tę porę, oleandrów. Roztoczyła się z lewej strony wielka równina, step węgierski, zwany puszcza, ukazały się z prawej tu i owdzie winnice; minęliśmy Szerengs, Miskolcz, a wreszcie pod samym już Pesztem uroczą miejscowość, rezydencyą letnią cesarską, Gödöllő.

Zmęczeni niedospaną nocą, podróżą i iście lipcowym upałem (było to 20 Lipca), stanęliśmy nakoniec w Peszcie na dworcu centralnym o godzinie 2-iej po południu. Wiadomo nam było, że przez czas wystawy istnieje przy dworcu biuro informacyjne z wykazami mieszkań prywatnych na rozmaite ceny; nie skorzystaliśmy z tej dogodności. Oblegli nas posłańcy (köszolga), zalecając rozmaite hotele; chcąc doznać jak naj-

mniej zawodu, wypadało decydować się na najmniej przez żydów posłańców zachwalany hotel Orient; mieści się on na Kerepesi-ut, zaledwie o kilkaset kroków od dworca, liczy się do pierwszorzędnych i dość drogie. Pokoik duszny na trzecim piętrze kosztuje 2 guldeny 20 centów, nie licząc usługi, która wynosi 30 centów od osoby. Gdyśmy około 3-iej zeszli na dół, już w restauracyi miejscowej nie było obiadu; wypadło szukać posiłku w piwiarni. Tu miejsce dodać, że Węgrzy nie zaspokajają się rozslawionem swoim winem, ale piją piwo tak dobrze, a może i lepiej jeszcze, niż mieszkańcy i przybysze wszystkich większych miast europejskich. Czas poobiedni przy niedzieli najlepiej sprzyjał oględzinom miasta.

Peszt leży na lewym brzegu Dunaju, początkiem swoim czasów rzymskich sięga, a sama nazwa jego powstała w XII w.; runął on jednak raz i drugi w gruzy, dźwigał jarzmo najeźdźców, i dopiero od r. 1686 t. j., od wypędzenia Turków, rozpoczyna się właściwy wzrost miasta. Takim sposobem Peszt uważać potrzeba za miasto nowożytnie i nie robić mu zarzutów, że nie ma pamiątek, ani pomników, ani świątyń, ani gmachów starodawnych. Ludność tego miasta wzrasta z bezprzykładną szybkością: w r. 1780 miał Peszt niecałe 17,000 mieszkańców, w r. 1870 liczył 200,000, przez lat dwadzieścia parę ludność ta podwoiła się, albowiem dziś liczą 400,000 mieszkańców, a nawet i więcej jeszcze, jak podaje Gazette de Hongrie (wychodząca w Peszcie).—Widzimy tedy, że ludność Pesztu wyrównywa ludności Warszawy. Zaledwie tylko jedna cząstka miasta, przytykająca do cudownego naddunajskiego bulwaru Franciszka-Józefa (Ferencz - József rakpart), poniżej nieco mostu łańcuchowego, który od r. 1848 łączy Peszt z Budą, nosi wyraźne ślady przeszłości; dzielnicę tę z drugiej strony, t. j. od strony wschodniej, zamakają dwie szerokie ulice, łuk tworzące: Károly-körút i Muzeumkörút (Carlsring i Muzeumring). Miasto Peszt moglibyśmy przyrównać do rozsuniętego wachlarza: ujęciem byłoby to stare miasto z „Ringami“, a z niego rozchodzą się długie promienie: Andrassy-ut (ulica Andrassego), Kiraly-utca (ulica Królewska), Kerepesi-ut i Ullői-ut. Mnóstwo drobniejszych równoległych ulic przecina w poprzek tegłowne ulice, tworząc, zwłaszcza w poboczach ulicy Andrassego, rodzaj szachownicy. Ulica Andrassego ciągnie się w kierunku północo-wschodnim i dochodzi do lasku miejskiego, w którym właśnie, przy niemiłosiernem użyciu siekiery, pomieszczono *wystawę krajową*, orszagos - kiallitas; Kerepesi-ut kończy się dworcem centralnym kolei, którego wielka fasada patrzy przez duży zegar w głąb tej ulicy; Ullői-ut kończy się w południowo-wschodniej stronie miasta dwoma ogrodami publicznymi, z których jeden ma być botanicznym. Gdy do tego dodamy przydunajską piękną dzielnicę Leopolda, całe pobrzeże Dunaju, obulwarowane i zajęte targowiskami, składami zboża, przystaniami; gdy dodamy pienisty Dunaj, dźwigający mnóstwo statków parowych, łodzi, łazienek; gdy dodamy malowniczo rozłożoną za Dunajem Budę i górę wielką Bloxberg, i cytadelę od południa, i wspaniałą zamek królewski na wysokości, i tulące się do niego drobne domy Budy od północy—to będziemy mieli mniej więcej plan Budapesztu. Ale nie! pozostaje jeszcze wyspa Małgorzaty—Margitsziget.

Wyspa ta ma swoją historią i monografią. Mieści się ona w górze Dunaju na samym jego środku, a więc na północ, w miejscu, gdzie rzeka ta pomiędzy Peszt i Budę wkracza. Zaraz poniżej Wyspy Małgorzaty jest most tegoż nazwiska. Wyspa ta jest miejscem przechadzek najwykwintniejszej publiczności budapeszteńskiej. Bilet wstępu na wyspę i jazdy w obie strony statkiem parowym wynosi w niedzielę czterdzieści kilka centów, w dniu powszednie jest tańszy. Przepędziliśmy tam kilka godzin nadzwyczaj przyjemnie. Miejscowość to dość rozległa, nader starannie zadzwiona i wzorowo przez ogrodników utrzymana; nawet lubownik i znawca kwiatów i roślinności na każdym kroku znajdzie tu dla siebie niespodzianki. Pośrodku wyspy mieści się prześliczny gmach, a w nim z przepychem urządzone



kąpiele; w górnej i dolnej części wyspy znajdują się restauracje, przy których grywa muzyka; oprócz tego jest wielki dom dwupiętrowy, przeznaczony na letnie (i drogie zapewne) mieszkania. Górny kąt wyspy przedstawia sielankę; ręka ogrodnika niewiele miała tu do czynienia; prowadzi się tu małe gospodarstwo, potrzebne do utrzymania mleczarni, czyli właściwie schludnej nader obory, przed którą czysto i przybrana dziewczyna (prawdopodobnie Niemka) czerpie wprost ze stągiewki, wciąż zasilanej, ciepłe jeszcze mleko dla licznych stojących (żadnych stolików ani krzesełek niema) gości. Wyspa mniej ma tego lata odwiedzających, niż zazwyczaj, albowiem publiczność tłumnie zbiera się nie tylko w niedziele, ale i codziennie, w obrębie wystawy; po zamknięciu pawilonów o godzinie 6-iej, bilet wstępu kosztuje tylko 20 centów; na obszernym placu przed pawilonem głównym gra muzyka wojskowa, szumi wodotrysk, rzucają z góry silne białe światło gęste latarnie gazowe, wręcz życiem dwie wielkie restauracje, naprzeciw siebie, po obu stronach głównego wejścia położone; nęci znakomicie urządzone panoramy, przedstawiająca, obok innych, najzupełniej rzeczywistość zastępujące, czarowne widoki Szmexu; wabi i do marzeń usposabia przechadzka po dalszych półciemnych alejach wystawowych.

(Dokończenie nastąpi).

## Warunki życia we wszechświecie.

(Dokończenie).

Wówczas ta wielce biegła natura szlachetnie ofiarowała człowiekowi do wyboru najwspanialsze pasożyty: wielkiego solitera, czyli tasiemca, *Taenia solium*, zamieszkującego trzewia, dosięgającego dwudziestu metrów, (blisko 70 stóp polskich!) długości, a nawet, według Dujardin'a, trzydziestu i czterdziestu metrów, to jest 104 do 140 stóp polsk.; — tasiemca średniego wzrostu, długości czterometrowej, zamieszkującego w takich samych pałacach; małego tasiemca kolcogłowego, *Taenia echinococcus*, który nad trzewia przekłada wątrobę, śledzionę i płuca; i całą seryą małych robaczek, których warunki bytu są całkiem różne od tych, jakie wymieniliśmy <sup>1)</sup>. Człowiek zresztą nie jest pod tym względem uprzywilejowanym. Każdy gatunek zwierzęcy posiada „właściwe sobie“ robaki trzewiowe; człowiek może tylko ich posiadać nieco więcej od innych zwierząt, ponieważ spożywa prawie wszystkie. Znany przecież pasożyty, dręczące wołu, barana, wieprza, konia, ryby, i t. d. Bezwątpienia każdy się zgodzi, że to jest osobliwszy sposób życia, i zdaje się, że lepiejby było nie rodzić się, niż być skazanym na życie w takim ośrodku. Bądźcoby, jednakże jestestwa te istnieją. Zamiast powstrzymać, natura gromadzi życie pasożytnicze na życiu normalnym i rozmnaża istnienie jedno kosztem istnienia drugiego.

Jak więc usprawiedliwić rozumowanie tych, którzy usiłują narzucić przyrodzie granice? Przyparte do ostatnich szanów, podobne rozumowanie czyż nie uzna, że jest zburzonym do szczytu? Czy pozostaje mu coś jeszcze do obrony? Tak, — pozostanie mu, jak soliterowi, jeszcze głowa. Zaiście, gdyby soliter w tym przedmiocie rozmyślał, jakież wytworzyłby sobie pojęcie o mieszkańcach wszechświata? Według niego powinny wszędzie istnieć tylko robaki trzewiowe, gdyż widocznie dla niego jest to jedyny normalny środek istnie-

nia. W ostatniej analizie przeciwnicy życia pozaziemskiego bronią się odrobina tlenem, posługującego do życia zwierzątkom głębi morskich i robakom trzewiowym.

Tlen — oto zbawca, oto okienko, otwarte na przestrzeń. Nasz sceptyk gotów przez nie ulecieć i głosić swe zwycięstwo.

Zaiście, wszelka roślina posiada właściwe sobie warunki życiowe i nikt nie może zaprzeczyć, że na ziemi tlen odgrywa pierwszą rolę w utrzymaniu życia. Nie byłoby więc nic w tem dziwnego, aby na ziemi pierwiastek ten był żywiołem i pozostawał głównym warunkiem istnienia jestestw żywych. co wszakże w niczem nie przeszkadzałoby myślicielowi przypuszczać, że na innych światach element ten może być zastąpiony innym, charakterystycznym w owych miejscach pobytu. Wszelako natura nie chciała pozostawić tej furtki tym, którzy nie chcą jej zrozumieć. „Chcecie mi narzucić tlen! — woła ona — mylicie się; nie narzucicie mi nic zgoła“.

### XII.

W rzeczy samej, znaleziono w maśle gatunek wielce nauczający pod tym względem, a mianowicie *Lasecznika, Bacillus amylobacter*. Mała ta istotka nie tylko nie potrzebuje tlenu do życia, lecz nie pragnie go bynajmniej, nie przyjmuje za żadną cenę. Pierwiastek ten jest dla niej zabójczym. *Tlen ją zabija za prostem z nią zetknięciem się*. Lasecznik ten jest fermentem masła; napastuje materye najrozmaitsze, wytwarzając zawsze kwas masłowy, i rozwija się wyłącznie tylko w ośrodkach, odstręczających wszelkie inne jestestwa żyjące. Otóż ten mikrob, stroniący od powietrza, a temsamem od tlenu w niem zawartego, rozpowszechniony jest aż do zbytku w naturze.

Inny znowu mikrob, zbadany w obserwatorium Montsouris przez doktora Miquel'a, poszukuje karczunku i rozkłada go, wywiązując kwas siarkowodny.

Zdumiewającą jest siła życiowa w tych jestestwach! Zachowały one całą żywotność proteuszów z pierwocin świata. Znajdujemy wpośród nich rzeczywiste proteusze, zmieniające całkiem kształty w ciągu kilku minut. Zmieniają też one dowolnie i swą naturę. Pasteur okazał nam przykład wielce wybitny, gdy poznał osobliwszą własność mykodermy winnej, oddychającej jak zwierzę, gdy żyje na powierzchni wina, lecz która, będąc w tym płynie zaurzozona, żyje na podobieństwo fermentów, rozkłada cukier i przetwarza go w alkohol i w kwas węglany. Marion, profesor fakultetu nauk w Marsylii, okazał ze swej strony, że *artemia saliva* zmienia swą postać i naturę odpowiednio do warunków bytu, w jakich ją pomieszczono, stając się to skorupiakiem morskim, to zwierzątkiem wód słodkich, i utrzymując się w tym stanie w ciągu kilku pokoleń i t. d., i t. d.

### XIII.

Na tem poprzestaniemy. Zwycięztwo jest aż nadto pełnym, byśmy potrzebowali jeszcze więcej je rozgłaszać. Gdy zwycięzca pozostaje sam tylko przy życiu na polu bitwy, nie myśli udowadniać swego tryumfu i nie wydaje, jak Napoleon w odwrocie z Rosyi, buletynów wielkiej armii. Zresztą, nie przypisujemy sobie w tem żadnej zasługi, ponieważ sama natura poniosła wszystkie koszty; glazy spadły z nieba na głowę zaprzeczających ich istnieniu. Zachodzi to zawsze w podobnych okolicznościach. Czyż do roku 1804 Paryżka Akademia Nauk nie odrzucała autentyczności uranolitów? W tymże samym roku trzy tysiące kamieni spadło z nieba w departamencie Orne; Riot powziął myśl zebrania ich i przedstawienia Akademii tych okazów, których mu włóścianie odstąpili. Przed kilku laty jeszcze, byłem na posiedzeniu Instytutu, na którym Moncel okazywał fonograf. Uczony członek Akademii, doktor

Bouilland, zerwał się wówczas z krzesła i przyskoczył do Moncel'a, traktując go jak... brzucho-mówcę.

„Nigdy! nigdy! — wołał — nie narzucicie nam wiary w podobny wynalazek“. Doktor Bouilland już nie żyje; wzniesiono mu pomnik. Potrzeba przyznać, że wogóle uczeni specjaliści usiłują powikłać w wysokim stopniu fakta, zamiast pozwolić, aby natura zajaśniała w całej swej wielkiej prostocie.

W kwestyi wielości światów nie będzie zbyt cennym sięgnąć pamięcią Fontenelle'a. Było to w czasach gorączkowych dysput stronników Newtona z jednej strony, a Kartezjusza z drugiej, w przedmiocie przesyłania światła i ciepła drogą emisyj lub falowania. Pewnego dnia, po śniadaniu, Fontenelle przyprowadził swych przyjaciół z Akademii do małej kuli, pomieszczonej na piedestale w środku ogrodu. „To dziwna — rzekł on — że ta kula, wystawiona na promienie słoneczne, jest gorętszą od spodu, niż zwierzchu“. Byłoby to skutkiem odbicia się promieni słonecznych od piedestału? Byłoby to skutkiem załamywania się światła w kuli? Najsprzeczniejsze z sobą objaśnienia mnożyły się, nie doprowadzając do zgody. „Nie — rzekł wówczas Fontenelle — jest to tylko ten skutek, że nim wam tę kulę pokazałem, odwróciłem ją“. W rezultacie wszystko jest wielce prostem, w przyrodzie, również jak w nauce. Najczęściej upatrujemy w naturze powikłania, jakie w niej nigdy nie istniały. Wszystkie głosy Wszechświata śpiewają hymn *życia*. Ta wymowa faktów powinna być wystarczającą dla naszego pojęcia.

Na rozumowanie P. Faye, że warunki życia zamknięte są w ograniczonym polu naszych bezpośrednich spostrzeżeń, odpowiedziliśmy bezpośrednimi wskazówkami naukowymi całej natury, a w szczególności: głęboką różnicą warunków istnienia w wodzie i w powietrzu, na naszej własnej planecie; przemianą organów i jestestw dla przystosowania się do zmian ośrodkowych: energią i nieskończoną giętkością siły życiowej, zwłaszcza w jestestwach pierwotnych; życiem w głębi oceanów; życiem w ciągu epok geologicznych; rozprzestrzenianiem się i płodnością życia mikroskopowego w powietrzu i w wodzie; życiem pasożytniczym, istniejącym i utrzymującym się w najdziwniejszych, w najosobliwszych ośrodkach, i to kosztem życia normalnego; życiem nieposiłkującym się nawet niezbędnym elementem życia ziemskiego, tlenem. Okazaliśmy, że życie przelewa się poza brzegi ziemi, jak płyn poza brzegi kielicha, zbyt wąskiego, aby się mógł w nim pomieścić, i że życie, nie tylko nie powstrzymuje się w swym rozwoju, lecz się rozpościera kolosalnie kosztem samego istnienia. Takim też jest *prawo* najwyższe natury. Nie uznawać tego prawa jest to zaprzeczać rezultatom całej wiedzy i wszystkich nauk, z nią zjednoczonych. Zaiście, moglibyśmy napisać całe księgi, odnoszące się do tego jednego przedmiotu. Wszelako i tak już przekroczyliśmy wielce granice, poza które zamierzaliśmy nie przechodzić, tem więcej, że pozornie kwestya ta występuje z ram naszego dziennej „*Astronomii*“. Powiedzieliśmy „*pozornie*“, gdyż faktycznie kwestya życia w przestworze niebieskim jest dopełnieniem — a ściślej mówiąc — najwyższym celem badań astronomicznych. Cóżby nas obchodzić mogło obserwowanie gwiazd, gdyby chodziło tylko o bryły mniej lub więcej ciężkie, rzucone bez celu w przestrzeń nieskończoną? Zresztą w naturze nie istnieje wcale ten podział nauk, jaki człowiek sobie wymyślił dla zaprowadzenia pewnego ładunku w małych przegródkach swego umysłu. W rzeczy samej, niema we Wszechświecie ani mechaniki niebieskiej, ani astronomii fizycznej, ani meteorologii, ani geologii, ani paleontologii, ani fizyki, ani chemii, ani botaniki, ani zoologii, ani fizjologii, ani żadnej z sekcji nauk, wytworzonych dla pracy ludzkiej. Istnieje tylko to, co jest: a więc wspaniała całość, niezmiernie jedna, wszechświat w swej szczytnej harmonii; lecz nie istnieje żaden z naszych małych podziałów.

Studować historią naturalną pod względem warunków zamieszkiwalności rozmaitych planet naszego systemu i światów nieznanych, krążących

1) Odmiany tasiemca są liczne; oprócz powyższych wymienimy: Tasiemca trójkolczystego *Taenia acanthotrias*, — T. eliptycznego *T. elliptica*, T. złotocentrowanego, *T. flavopunctata*, T. pochewkowego, *T. marginata*, — T. przewierconego, *T. mediocanellata*, T. karłowatego, *T. nana*, — Brzdogłowca, *T. lata* vel *Bothriocephalus*. (Przyp. tłumacza).



w ogromnym mnóstwie około innych słońc — jest to niczem więcej, jeno studyowaniem astronomii, bądźco bądź pomysła o tem pigmeje, krótkowidze. A w tej mierze nasz szanowny przeciwnik należy do rzędu tych wielkich umysłów, które, jak Pascal i Leibnitz, dostrzegały poza obrębem materii istoty zakryte tajemniczą zasłoną. Jeżeli roztrząsaliśmy jego poglądy, jeżeli całą naszą siłą podkopaliśmy ich podstawę, to dla tego tylko, że poważamy w wysokim stopniu dążności jego metody. Wielka, jak się zdaje, zachodzi odległość między jego poglądami i naszymi; P. Faye wszakże potrafi bez trudu ją przebyć. W tych wyskoczeniach horyzonty zbliżają się ku sobie.

Niech znakomity nasz astronom przetłumaczy „*Dzieło Czasu*“. Pozna wówczas że nasza epoka dzisiejsza nie obejmuje całości życia; że nie ma ona więcej znaczenia w historii wszechświata od wieków ubiegłych i od wieków przyszłych; że niema żadnego powodu do przypuszczania, iż wszystkie stworzone światy są zamieszkałymi w chwili obecnej, — że chociaż Ziemia, Mars, Wenera, a być może i Saturn, są dziś istotnie zamieszkałymi, Księżyc zdaje się być na schyłku widowni życia, a Jowisz na drodze rozwoju życia w wiekach przyszłych. Niebo również ma swe kolebki i swe groby. Wszelako ograniczać dzieło natury w zacieśnionej sferze naszych spostrzeżeń bezpośrednich — jest to nierozumieć jej języka i zaprzeczać, że życie jest najwyższym celem stworzenia; jest to nie widzieć światła, gdy słońce świeci w samo południe.

## Korrespondencja zagraniczna.

Lwów, w Sierpniu 1885 r.

(Dokończenie).

Wielkie płótna, wymienione powyżej, tak wiele zajęły miejsca i uwagi, że stosunkowo mało pozostało na resztę wystawy. Obrazów rodzajowych, scen z życia powszedniego, niema prawie wcale tym razem. Dawniej bywał to dział najobfitszy. Aspiracje młodszych pokolenia malarzy wyżej sięgają, jak widzimy. Z pola rzeczy potocznych, obyczajowych, podniosły się w sfery historyczne, sztuka pod ich pędzlem do wyższego nastroja się kamertonu. Jest to pomyślna wogóle wróżba na przyszłość, byle skutek chęciom odpowiedział. Albowiem, nie treść sama przez się, ale myśl i wykonanie stanowi wartość dzieła sztuki, a mierzy obraz historyczny nie może się równać z dobrym rodzajowym. Z małej ich liczby, znajdujących się na tegorocznej wystawie tutejszej, odznacza się obrazek p. Bierkowskiej, *Przy żurnach*, z dobrze skombinowaną grą światła, wpadającego z zewnątrz przez drzwi otwarte do ciemnej chaty, i dobrą perspektywą w rysunku. P. Jaroszyński pracuje niezmiernie, a ulubionym jego przedmiotem są krajobrazy gór i typy haculskie, konie i wogóle sceny i widoki, z natury zdejmowane. Na każdej wystawie tutejszej spotykamy gromadkę rozmaitych jego obrazów w powyższym rodzaju, a chociaż gdzie indziej utyka w rysunku i perspektywie, wynagradza to przecieź oryginalnością typową widoków i scen przedstawianych. Obecnie mamy jego widok lasu, przez który przebijają złociste promienie jutrzeńki, a stojący na skraju lasu myśliwy oczekuje na *ciąg stomek*. Na innym obrazie Jaroszyńskiego widać *grupe koni*, cisnących się ku sobie w popłochu, na trzecim typ hu-

culki. Młody Lwowianin, Zuber, który w zeszłym roku wystąpił z dosyć nieszczęśliwą kompozycją większego rozmiaru, dał obecnie parę bardzo dobrze wykonanych pomniejszych studyów, mianowicie: *Głową starca i wieśniaka bawarskiego*. Jest może zanadto wiele w tych rzeczach realizmu, ale jest to widocznie kierunek, właściwy młodemu artyście.

W dziale tym zatrzymują jeszcze uwagę widza Lipińskiego dwa obrazki: *Powrót od żniwa i U brzegu rzeki*; Stachiewicza: *Kotysanka, Zieleniaczek i O szarej godzinie*, trzy obrazki typowe; Rossowskiego dwie głowy kobiece z XIV wieku; Rybkowskiego scena góralska z okolic Delatyna. Przeglądając krajobrazy, trafiamy na Świeszewskiego *Jeziro Nemi* w górach albańskich z okolic Rzymu. Nikt może u nas tak pięknie nie maluje krajobrazów włoskich, jak Świeszewski. Nikt lepiej od niego nie zna południowego nieba, o jasnym przejrzystym lazurze i gry tamtejszego słońca, rozlewającego przepyszne światła po górskich szczytach i po fali wód. Posiada on w całej pełni tajemnicę przenoszenia na płótno z zadziwiająca prawdą tej cudownej gry blasków i tej przejrzystości powietrza, właściwej tamtemu podniebiu. Lubujemy się w południowych krajobrazach Świeszewskiego; z ciekawością oglądamy Cieszkowskiego *Widoki z kampanii Rzymskiej*; ale miłsza zieloność gór i lasów własnych, miłsze szare niebo swojskie, do któregośmy przywykli, za którym tęskni dusza i oko. Dlatego chętnie zwracamy się do krajobrazów Grabińskiego, chociaż nie posiadają tej, co Świeszewskiego, doskonałości techniki i czarodziejstwa kolorytu. W obrazach Grabińskiego znajdujemy zawsze poprawny rysunek i pewien wdzięk sympatyczny, pochodzący ztąd, że artysta malował z uczuciem i kochał przyrodę, którą przenosił na płótno. Brochockiego *Pod lasem*, Kochanowskiego *Brzeg lasu i Krajobraz jesienny*, wreszcie Głowackiego piękny widok *Dolny Heleny*, pod Badeniem, jako zabytek słynnego w swoim czasie naszego pejzażysty, zasługują na uwagę w tym dziale. Oprócz tego mamy w tym roku więcej niż zazwyczaj krajobrazów malarzy obcych, Kornbecka, Jandy, Hartmana i t. d., bardzo dobrze malowanych. Gerson przysłał dwa małe *Widoki Szczawnicy* i typ górala z tamtych okolic.

Najświetniej przedstawia się dział portretowy; jest tu albowiem kilka prawdziwie znakomych portretów, które moglibyśmy, nie grzesząc przesadą, nazwać arcydziełami, gdyby to nie była nazwa tak bardzo już zużyta i nadużyta. Pierwsze pomiędzy niemi miejsce zajmuje Horowitza *portret hr. Alfreda Potockiego*, byłego namiestnika Galicji, naturalnej wielkości, prześlicznie malowany; dzieło to pod każdym względem pierwszorzędne, obraz pełen zalet i szlachetności, odznacza się nadto szczególną wiernością podobieństwa. Obok, jakby dla porównania, zawieszono portret hr. Potockiej, małżonki hr. Alfreda, malowany przez Winterhallera. Mamy też i drugi obraz Horowitza, niemużej piękny w swoim rodzaju, portret dra Szokalskiego. Odmiennie wcale przedstawiają się portrety Andrzeja Grabowskiego, których dwa znajdują się na wystawie. Grabowski portretuje znakomicie i ma swój sposób malowania bardziej realistyczny, oddający prawdę natury w jej najwybitniejszych znamionach i zastosowany zawsze do — właściwości portretowanej osoby, jej usposobień, zatrudnienia, stanowiska towarzyskiego i t. p. Grabowski, przystępując do malowania, studyuje przedtem wzrokiem psychologa i artysty osobę, którą zamierza oddać na płótnie; a urobiwszy sobie pewne typowe o niej pojęcie, przedstawia wierne podobieństwo z odpowiedniemi wypracowaniem wszyst-

kich szczegółów i bogactwem oryginalnej, sobie właściwej techniki. Gdyby zgromadzić wszystkie razem portrety Grabowskiego, a jest ich bardzo wiele, bo od lat przeszło dwudziestu głównie temu rodzajowi malarstwa się oddaje, utworzyłaby się ztąd galerja przedstawiająca niemal wszystkie typy społeczeństwa dzisiejszego, we wszystkich jego sferach, z wyrazistą oddane charakterystyką.

Nie dla większej niż zwykle liczby obrazów, ale dla wielkiego po większej części rozmiaru tychże, wystawa tegoroczna nie pomieściła się w jednej sali, lecz musiano wyjątkowo tym razem przyłączyć do niej jeszcze drugą, mniejszą salę poboczną, którą możnaby nazwać *salą honorową* tegorocznej wystawy, albowiem pomieszczono tu rzeczy najpiękniejsze, a mianowicie, dosyć powiedzieć, akwarelle Kossaka, których w tym roku jest więcej, niż zazwyczaj. Pomiędzy kilku-nastu, z których jedna piękniejsza od drugiej, znajdujemy niektóre znane już dawniej, jak „stado Sławuckie księcia Romana Sanguszki“. Przyjęcie na błoniach pod Krakowem cesarza Austriackiego“ i parę innych. Nie umniejsza to ich powabu. Im częściej widziane, tem z większą wpatrujemy się w nie przyjemnością, coraz nowe spostrzegając zalety i wdzięk coraz nowy. Z kompozycji wyciwnych najnowszych przysłał Kossak parę scen z *Potopu* Sienkiewicza i kilka pomniejszych, prześlicznych. Obok arcydzieł Kossaka, reszta mniej już zajmuje, chociaż są jeszcze rzeczy, których pominąć niepodobna, jak np. dwa portrety Tepy, odznaczające się bardzo starannem i wdzięcznem wykonaniem, a nawet kopie jego typów włosciańskich przez Nirenszteina, który sobie przyswoił doskonale sposób malowania Tepy i z wielkim, jak na dyletanta, talentem go naśladowuje. Sozański wybornie ujmuje i przedstawia typy uliczne, jak przekonaliśmy się z jego albumu, przywiezionego z Florencji, znanego nam z dawniejszej wystawy. Obecnie mamy podobny typ, wzięty z ulicy Lwowskiej — postać powszechnie tutaj znana, ale niesympatyczna. Wdzięcznie przedstawia się Rajchana służbiste dziewczę, *Arletka*, które nas wychodzących z wystawy figlarnem żegną oczkiem.

Władysław Zawadzki.

## I sza SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek w roku bieżącym rozpoczętym zostanie dnia 15 Września; — zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1 z południa. Desenie różne, oraz podług wzorów „Bluszczu“ i wszelkie przybory, potrzebne do wyrobu koronek, można nabyć w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester.

**TREŚĆ.** Dla matek, przez Wandę Podgóorską. — Zjazd pedagogiczny w Przemyślu (dokończenie). — Przeklęta wiosna, nowella, (dokończenie), przez Bronisława Grabowskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Poznań. — Kartki z wycieczki do Pesztu. — Korrespondencja zagraniczna, Lwów, (dokończenie), przez Wł. Zawadzkiego. — Warunki życia we wszechświecie, (dokończenie), przez K. Flammariona.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 4 ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — 21 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekrety gospodarskie*. — *Dyspozycją stołu*.



# DODATEK DO BLUSZCZU,

## N<sup>r</sup> 36.

### Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

### MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Opis rycin podanych na pierwszej stronie  
Tablicy.

Rycina Nr 1, 2 i 4. Szlaki na ręczniki,  
serwety, prześcieradła i t. p. Szlaki te

haftują się na dość grubem płótnie lub na kanwie,  
różnemi kolorami bawełny i jedwabiem, lub też  
jednym kolorem w dwóch cieniach.

Rycina Nr 3. Czwarta część poduszki  
lub podnóżka krzyżową robotą, jedwabiem  
lub włóczką, w kolorach następujących:

Objaśnienie znaków: ■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci, ■ czwarty (najjaśn.) śliwkowy, \* pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) niebieski, ■ pierw. (najcie.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) oliwkowo-zielony, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) zielony, ' tło.

Rycina Nr 5. Wzór na dywan ryciny 12  
w Bluszczu Nr 37, smyrneńskim ścięciem, w ko-  
lorach następujących:

Objaśnienie znaków: ■ czarny, ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-brązowy, ■ oliwkowo-zielony, \* ciemno-pasowy, ' złoty.

Rycina Nr 6. Wzór na krzesło ryc. 14  
w Bluszczu Nr 37, krzyżową robotą, w kolorach  
następujących:

Objaśnienie znaczków: ■ czarny, ■ ciemno-zielony, ■ jasno-zielony, ■ ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) czerwony, \* pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.) niebieski, ■ ciemno-brązowy, ■ jasno-brązowy, ' jasno-żółty.

Rycina Nr 7 do 9. Wzory na krzesło  
ryciny 15 w Bluszczu Nr 37, krzyżową robotą,  
w kolorach następujących:

Rycina Nr 7. \* pierw. (najcie.), ■ drugi, ■ trzeci, (najjaśn.) brązowy, ■ pierw. (najcie.), ■ drugi, ■ trzeci, ■ czwarty, (najjaśn.) zielony, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci, ■ czwarty (najjaśn.) czerwony, ' biały jedwab, ■ żółty jedwab.

Rycina Nr 8. ■ pierw. (najcie.), ■ drugi, ■ trzeci, ■ czwar-  
ny (najjaśn.) czerwony, ■ pierw. (najciem.), \* drugi, ■ trzeci,  
■ czwarty (najjaśn.) brązowy, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi,  
■ trzeci, ■ czwarty (najjaśn.) zielony, ' biały jedwab, ■ żółty  
jedwab'.

Rycina Nr 9. \* pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci,  
(najjaśn.) brązowy, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci,  
■ czwarty (najjaśn.) pasowy, ■ pierw. (najciem.), ■ drugi,  
■ trzeci, ■ czwarty (najjaśn.) zielony, ■ złoty jedwab'.

Rycina Nr 10 i 11. Znaki do bielizny  
krzyżkowym ścięciem.

Rycina Nr 12 i 13. Szlak na-  
różny i połowa środka na ser-  
wetę. Haft ten wykonywa się włó-  
czką i jedwabiem, w kolorach poda-  
nych przez znaczki, na płótnie lub  
kanwie, która się następnie odcina;  
haft zaś przymocowuje się do tła su-  
kiennej lub pluszowej serwety i otę-  
cza złotym lub jedwabnym sznurecz-  
kiem. Jeżeli haft zaś ma być od-  
razu na serwecie wykonany, trzeba  
podłożyć zwyczajną kanwę, a później  
powyciągać jej nitki. Bardzo efek-  
townie wygląda haft ten na kanwie  
„antique“, zrobiony sznelą, pół-krzy-  
żowym ścięciem, lub też na szarej  
kanwie „Jawa“ lub „Aida“, różno-  
barwną bawełną.

Rycina Nr 12. \* ciemno-brązowy, ■ ja-  
sno-brązowy, ■ ciemno-oliwkowy, ■ jasno-  
oliwkowy, ■ ciemno-zielony, ■ jasno-zielony,  
■ ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy, ■ ciemno-  
niebieski, ■ jasno-niebieski, ■ ciemno-czerwo-  
ny, ■ jasno-brązowy, ' tło.

Rycina Nr 13. \* ciemno-brunatny, ■ ja-  
sno-brunatny, ■ ciemno-oliwkowy, ■ jasno-oli-  
wkowy, ■ ciemno-zielony, ■ jasno-zielony, ■ cie-  
mno-niebieski, ■ jasno-niebieski, ■ ciemno-  
czerwony, ■ jasno-brązowy, ' tło.

Rycina Nr 14. Wzór na szlak  
na portyerę lub pokrycie na  
krzesła, krzyżową robotą, włócz-  
ką lub jedwabiem, w kolorach na-  
stępujących:

Objaśnienie znaków: \* ciemno-niebieski, ■ cie-  
mno-czerwony, ■ ciemno-ceglasty, ■ jasno-ce-  
glasty, ■ ciemno-zielony, ■ brązowo-brunatny,  
' złoty.

Rycina Nr 15. Narożnik ser-  
wety ryciny 13 w Bluszczu Nr 37,  
krzyżową robotą.





## Suknia wieczorowa z „satin-merveilleux“ i koronki.

Rycina Nr 1.

Spódnica ta zrobiona z podszewki, pokryta drugą spódnicą, 3 i pół metra szeroką z „satin-merveilleux“ koloru „bordeaux“, a przybrana szalową draperią z czarnej koronki. Stanik z materii, z przodu i z tyłu ścięty w bawet i przybrany koronką; 25 cent. szeroka koronka, spięta na ramieniu agrafką, zastępuje rękawki. Rękawiczki z czarnej duńskiej skórki, są haftowane złotem i perełkami.

## Wachlarz wieczorowy.

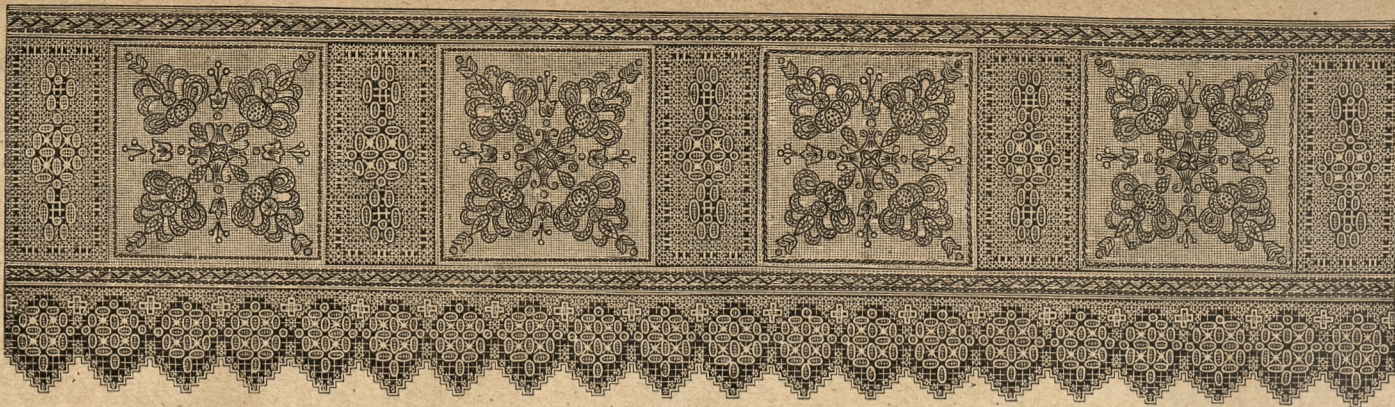
Rycina Nr 2.

Podstawa wachlarza z czarnego ze złotymi ozdobami drzewa, pokryta jedwabną gazą, ozdobiona malowanymi kwiatami i zakończoną koronką z czarnego i kremowego jedwabiu.

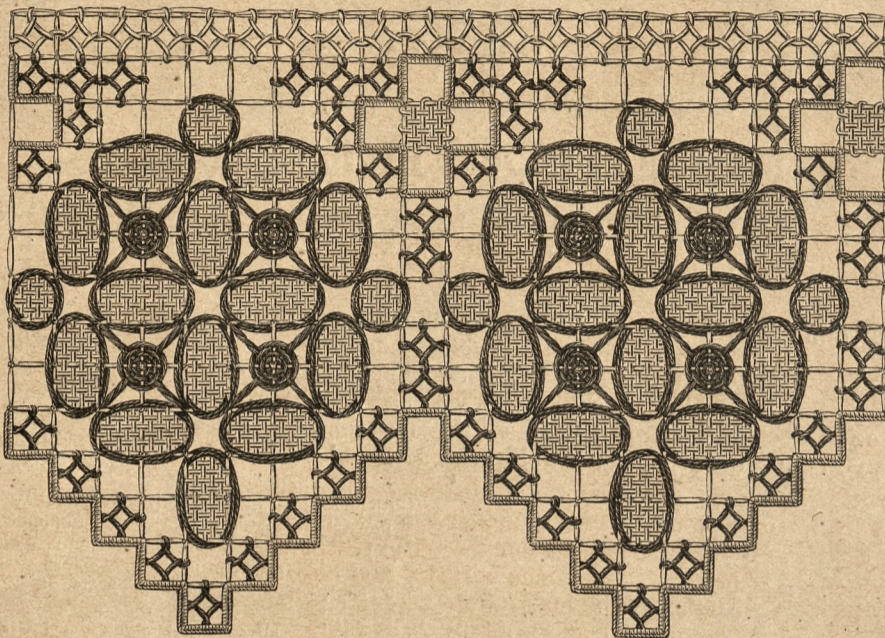
## Pokrycie na sofę

Rycina Nr 3 — 6

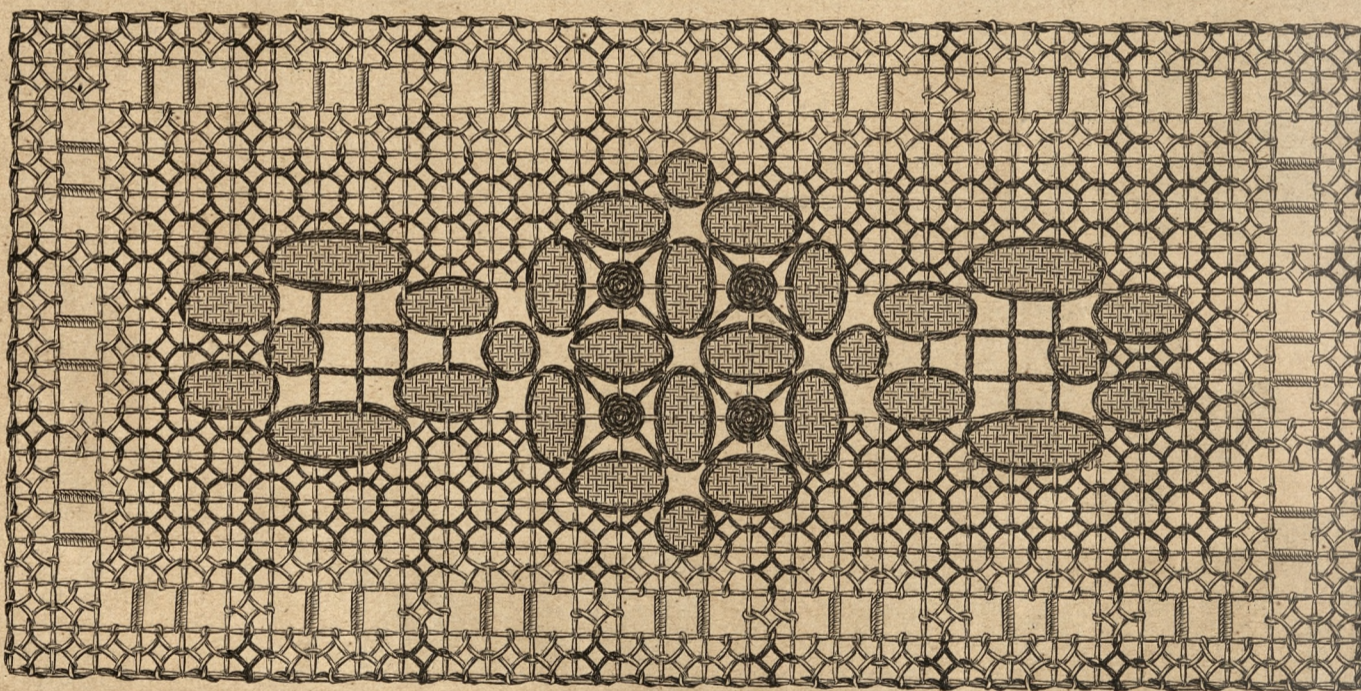
Pokrycie zeszyte z kwadratów płóciennych, przybranych haftem z pasów siatkowej gipiury; u dołu zakończone ażurowym szlaczkiem i koronką. Na zrobienie kwadratu, którego połowę w naturalnej wielkości przedstawia rycina 6, trzeba ukrajać 21 centim. duży kawałek płótna średniej grubości, podwinąć w koło pół cent. szeroki obręb, a wyciągnąwszy po nad nim 6 nitki płótna, przyszyć go delikatnie cienkimi niciami, zabierając każdym ścięciem 4 luźne nitki, a te ostatnie cerować trzy razy w okół kwadratu grubą brązową bawełną, biorąc na igłę 4 nitki płótna, a drugie 4 opuszczając. Następnie przenieść na płótno desen i haftować brązową bawełną ścięciem płaskim, gałązkowym, supelkowym, pocztowym i w rybią lu-



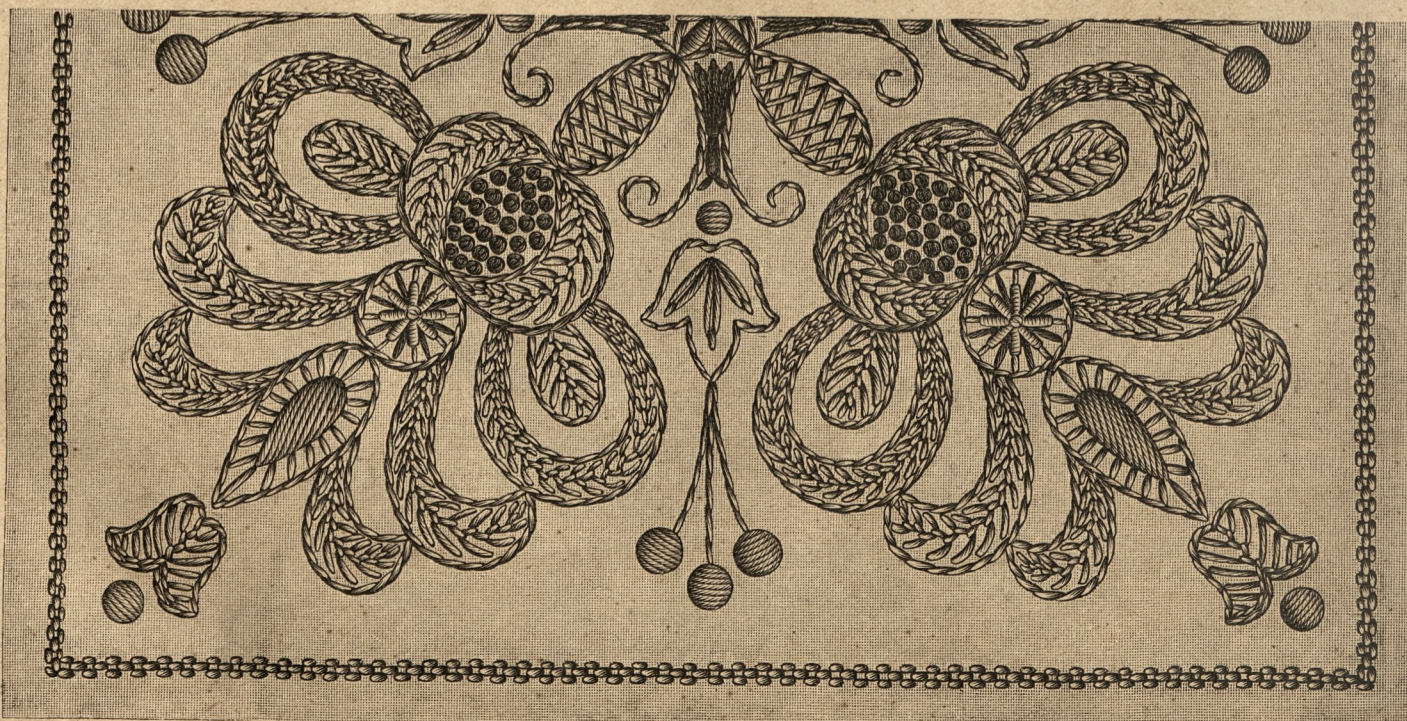
Nr 3. Pokrycie na sofę płaskim, gałązkowym, supelkowym, pocztowym i rybiej łuszczyki ścięciem (Do ryc. 4—6).



Nr 4. Koronka do ryc. 3 siatkową gipiurą.



Nr 5. Pas do ryc. 3 siatkową gipiurą.



Nr 6. Połowa kwadratu do ryc. 3 płaskim, gałązkowym, supelkowym, pocztowym i rybiej łuszczyki ścięciem.

szczękę; płaski haft środkowej figury robi się zieloną, a supelki różową filozellą. Na ażurowe pasy trzeba zrobić 8 i pół cent. szerokie i odpowiedniej do kwadratów szerokości kawałki siatki i zarobić ją podług ryciny 5 białą i brązową ba-

welną, ścięciem point-d'esprit i point-de-toile, oraz langietkowym i kordonkowym, a figury ścięciem point-de-toile obwieść podług ryciny brązową bawełną. W podobny sposób robi się koronkę przedstawioną na rycinie 4. Na szlaczek zaś potrzebny odpowiedniej długości, a 2 i pół centim. szeroki pasek płótna, który należy podwrebić z obu stron, w sposób wyżej opisany, luźne nitki płótna cerować brązową bawełną, środek zahaftować w rybią łuszczykę i poseszywać wszystkie części pokrycia, to jest kwadraty, pasy, szlaczki i koronkę okrągłą z lewej strony, podług ryciny.

## Pliski do oszycia kołnierzyków i rękawków.

Rycina Nr 10 do 13

Szlaczek ryciny 10 składa się z dwóch plisek z cienkiej gazy, z których pierwsza naszyta brązowymi perełkami, a druga przykryta koroneczką koloru awanna, obie zaś wszyte u dołu w wąską atłasową wstążeczkę.

Drugi szlaczek przedstawiony na rycinie 11 składa się z pliski zrobionej z podwójnie złożonego niebieskiego płótna, zakończonej u góry wążutkim obrąbkiem i wypusteczką z białego w niebieskie punkciki perkalu.

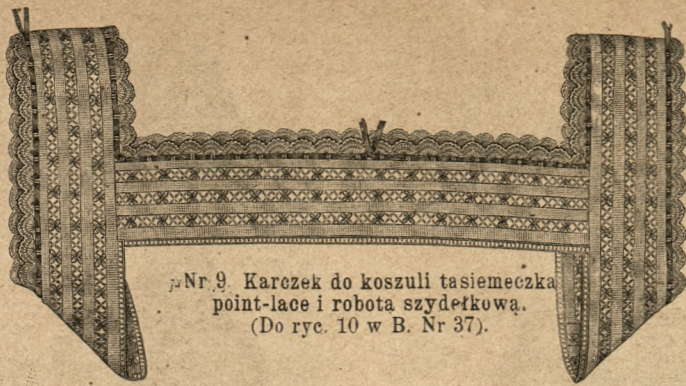
Przedstawione na rycinie 12 obszyte do sukni, składa się z dwóch 2 i pół centim. szerokiej plisek, z białego cienkiego musliu, naszytych podług ryciny, małymi i dużymi perełkami, a u dołu wszytych w wąską atłasową wstążeczkę.

Na zrobienie garniowania, przed-





Nr 7. Suknia z woalu w deseń i atlasu. Prząd.  
(Do ryc. 8) Opis odwr. str. tabl.



Nr 9. Karczerek do koszuli tasiemeczka  
point-lace i robota szydełkowa.  
(Do ryc. 10 w B. Nr 37).

mitką ciemniejszego koloru. Tiunika jest z przodu śpiczasta, a na bokach ułożoną w fałdy skierowane ku górze, z tyłu zas upięta bufiasto. Stanik z okrągłym karczkiem, przybrany koronką, aksamitką i koronkową wstążką.

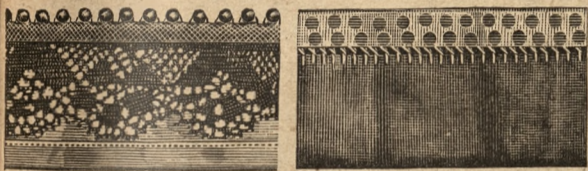
## Przepisy gospodarskie.

### Kluski do zup z owoców jakichkolwiek.

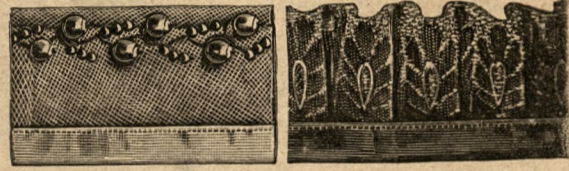
Dużą bułkę montową namoczyć w mleku, gdy dobrze nasiąknie, rozetrzeć ją w donicy z łyżką młodego masła, wbić trzy całe jaja po jednym, wsypać trochę cukru, posolić, a w końcu z łyżką mąki rozcierać długo; gdyby ciasto było za gęste, wlać parę łyżek mleka — gdyby za rzadkie, trosz-



Nr 8. Suknia z woalu w deseń i atlasu. Plecy. (Do ryc. 7).



Nr 10 i 11. Pliska do kołnierzyków i rękawków.  
 $\frac{3}{4}$  naturalnej wielkości.



Nr 12 i 13. Pliski do kołnierzyków i rękawków.  
 $\frac{3}{4}$  naturalnej wielkości

stawionego na rycinie 13, potrzebna jest dwa centymetra szeroka pliska, z podwójnie złożonej złotej gazy, przykryta czarną koronką, ułożona w kontrafaldki, a u dołu wszyta w czarną atlasową wstążeczkę.

### Suknia z wełnianego materiału

Rycina Nr 15

Spódniczka tej sukni zrobiona jest z granatowego wełnianego materiału, zupełnie gładko przybrana tylko tiuniką śpiczastą z przodu, a z tyłu w płaskich fałdach na dół spadająca. Stanik z napiersnikiem i marynarskim kołnierzykiem, przybrany podobnie jak i tiunika, kremową wełnianą taśmą.

### Suknia z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 16.

Spódnica pokryta wysokim wolantem z jasnego repsu, ułożonym w szerokie płaskie fałdy i naszytym aksa-



Nr 14. Fartuszek płócienny.  
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr II, fig. 9—10.

Nr 15. Suknia z wełnianego materiału

Nr 16. Suknia z jedwabnego repsu.

kę mąki — zależy to od ilości mleka, w którym mokała bułka — musi być jednak dość gęste, aby można łyżką kłaść kluski na gorącą wodę i łyżką durszlakową je wybierać, kładąc od razu w wagę z zupą. Gotować się powinny 8 minut — można je podawać również do śliwek i gruszek, suszonych z sosem na jarzynę w poście.

### Paszteciki do rosółu zawijane w rurki lub w foremkach.

Pół funta mąki, łyżkę masła i trzy jaja zagnieść, z których dwa całe a jedno żółtko, z łyżką śmietany wygniatać, a gdy się pokażą bąble — rozwałkować. Pozwijając rurki z tekturki lub grubego papieru, posmarować je pierwej masłem, obłożyć czyli obwinąć ciastem posmarować jajkiem i wstawić w wolny piec. Gdy się zaczną rumienić, wyjąć papierki, a w dziurki ponakładać łyżeczką



farszu z mózdku obgotowanego i wymieszanego z masłem i mąką, żółtkiem, solą, pieczarkami gotowanymi, lub zwyczajnym farszem z cielecej pieczeni, jaki się zwykle robi do pierożków; zatkać brzegi ciastem, posmarować masłem, całe posypać bułką tartą i jeszcze raz na dziesięć minut wstawić w piec. Tem samym ciastem można wykladać foremki od babek śmietankowych, odpiec ciasto, nałożyć farszem, polać masłem z bułeczką i wstawić do pieca dla zrumienienia, poustawiane na blasze. Podając tak pierwsze jak drugie, ubrać smarzonkami gałązkami pietruszki.

### Pieczarki suszone.

Pieczarki można również dobrze jak grzyby, krajane w paseczki lub tarczki, suszyć na słońcu — następnie tłuc w moździerzu i wsypawszy w butelkę, zachowają aromat rok cały, a w razie potrzeby sypać po łyżeczce do mięsnych sosów jakichkolwiek — jednak należy pamiętać proszek przesiać. Młode nie trzeba wcale obierać — stare o ile się dadzą — le-

psze są od owych zagranicą kupowanych niby truflii, które nie wiele mają smaku.

L. C.

## Obiad na Niedziele.

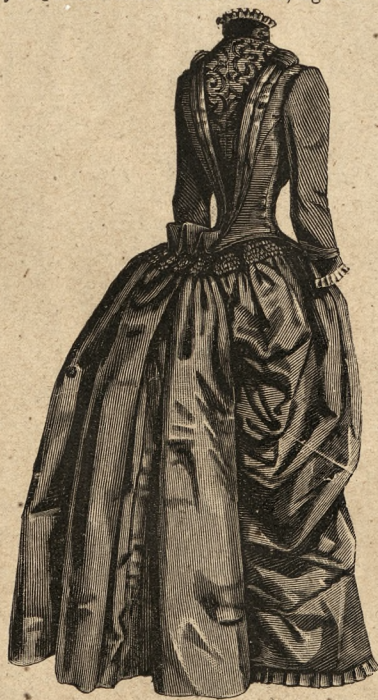
1. Zupa z zielonego groszku (purée).
2. Ryby z sosem holenderskim.
3. Pieczeń barania z kartoflami „à la maitre d'hotel“.
4. Główka cieleca na zimno z majonezowym sosem.
5. Kurczęta z kompotem z gruszek.
6. Krem waniliowy.
7. Owoce.



Plecy. Nr 17 i 18. Okrycie krótkie z wełnianego materiału. Przód. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr III, fig. 11 — 13.



Nr 19. Suknia z jedwabnego repsu. Przód. (Do ryc. 20). Opis odwr. str. tabl.



Nr 20. Suknia z jedwabnego repsu. Plecy. (Do ryc. 19).

### UWAGA

Do dzisiejszego numeru dołączona Tablica krojów, służy też do N-ru 37.



Nr 21. Szlafroczek z etaminy i zefiru. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr I, fig. 1ab—8.